



# RYTUAŁ MIECZY

KSIĘGA 7 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

**Morgan Rice**

# **Rytuał Mieczy**

Серия «Крęгу Czarnoksiężnika», книга 7

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=43696231](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696231)*

*Rytuał Mieczy (Księga 7 Cyklu Krąg Czarnoksiężnika):*

*ISBN 9781632913746*

## **Аннотация**

W RYTUALE MIECZY (Księga 7 Kręgu Czarnoksiężnika) Thor zмага się z tajemnicą swego pochodzenia, próbując pogodzić się z tym, kim jest jego ojciec i zastanawiając się, czy ujawnić swój sekret oraz jakie działanie podjąć. Z powrotem w domu, w Kręgu, z Mycoples u boku i Mieczem Przeznaczenia w dłoni, Thor zdecydowany jest dokonać zemsty na armii Andronicusa i oswobodzić swoje ojczyste ziemie – i w końcu poprosić Gwendolyn o rękę. Przekonuje się jednak, że istnieją moce potężniejsze nawet niż on, które mogą stanąć mu na drodze. Gwendolyn powraca i usiłuje stać się królową, którą pisane jej jest być, za pomocą swej mądrości jednocząc różne siły i pozbywając się Andronicusa na dobre. Znów z Thorem i swymi braćmi, cieszy się chwilami pokoju i wolności. Lecz wszystko szybko się zmienia – zbyt szybko – i nim się obejrzy, jej życie znów wywróci się do góry nogami. Jej starsza siostra, Luanda, jej zaciekle rywalka, zdecydowana jest walczyć o władzę, podczas gdy brat króla MacGila przybywa ze swoją

armią, by przejąć tron. Otoczona szpiegami i zabójcami, nękana, Gwendolyn przekonuje się, że bycie królową nie zawsze jest tak bezpieczne, jak myślała. Miłość Reece'a i Selese wreszcie ma szansę rozkwitnąć, lecz w tym samym czasie pojawia się jego dawna miłość i Reece czuje się rozdarty. Czasy spokoju wkrótce zostają przerwane bitwą i Reece, Elden, O'Connor, Conven, Kendrick, Erec, a nawet Godfrey muszą wspólnie stawić czoła przeciwnościom losu i je pokonać, jeśli chcą przeżyć. Ich bitwy prowadzą ich we wszystkie zakamarki Kręgu, stając się wyścigiem z czasem, by odsunąć od władzy Andronicusa i ocalić siebie przed całkowitym zniszczeniem. Gdy potężne, niespodziewane moce toczą boje o przejęcie kontroli nad Kręgiem, Gwen zdaje sobie sprawę, że musi zrobić wszystko, by odnaleźć Argona i sprowadzić go z powrotem. W końcowym, szokującym splocie wydarzeń Thor przekonuje się, że choć jego moce są najdoskonalsze, posiada także ukrytą słabość – która może okazać się przyczyną jego ostatecznego upadku. Czy Thor i reszta oswoją Krąg i pokonają Andronicusa? Czy Gwendolyn stanie się królową, jakiej wszyscy potrzebują? Co stanie się z Mieczem Przeznaczenia, Erekiem, Kendrickiem, Reece'em i Godfreyem? I jaką tajemnicę skrywa Alistair? Odznaczająca się wyszukaną inscenizacją i charakterystyczną SZARŻĄ WALECZNYCH to epicka opowieść o przyjacielach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, o złamanym sercu, oszustwach, ambicji i zdradzie. To opowieść o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu, o magii. To fantazja wciągająca nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci.

# Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	18
ROZDZIAŁ TRZECI	22
ROZDZIAŁ CZWARTY	33
ROZDZIAŁ PIĄTY	37
ROZDZIAŁ SZÓSTY	43
ROZDZIAŁ SIÓDMY	52
ROZDZIAŁ ÓSMY	60
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	67
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	74
ROZDZIAŁ JEDENASTY	84
Конец ознакомительного фрагмента.	85

# Morgan Rice

## Rytuał Mieczy (Księga 7

## Cyklu Krąg Czarnoksiężnika)

PRZEKŁAD: SANDRA WILK

### O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowych THE VAMPIRE JOURNALS, serii powieści dla młodzieży obejmującej jedenaście części (kolejne w trakcie przygotowania), THE SURVIVAL TRILOGY, postapokaliptycznego thrillera, w skład którego wchodzi dwie księgi (kolejne w trakcie przygotowania) oraz epickiego cyklu fantasy KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA, składającego się z trzynastu ksiąg (kolejne w trakcie przygotowania).

Książki autorki dostępne są w wersji audio oraz drukowanej i zostały przetłumaczone na niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, japoński, chiński, szwedzki, holenderski, turecki, węgierski, czeski i słowacki (kolejne wersje językowe w trakcie przygotowania).

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Vampire Journals), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz

**POWRÓT SMOKÓW** (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers)  
dostępne są nieodpłatnie

Morgan cieszą komentarze czytelników, zachęcamy więc do odwiedzenia strony [www.morganricebooks.com](http://www.morganricebooks.com), gdzie możecie dopisać swój adres e-mail do listy i otrzymać darmową wersję książki oraz materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, przeczytać najświeższe, niepublikowane nigdzie indziej wiadomości, połączyć się przez Facebook i Twitter i być w kontakcie!

## **Wybrane komentarze do książek Morgan Rice**

„Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. „Wyprawa bohaterów” opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– *Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)*

„**KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA** ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi,

kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczkce.”

– *Books and Movie Reviews, Roberto Mattos*

“Zajmujące epickie fantasy Morgan Rice [KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA] zawiera klasyczne cechy gatunku – dobrze zbudowaną scenerię, w dużej mierze inspirowaną starożytną Szkocją i jej historią, oraz ciekawie opisany świat dworskich intryg.”

– *Kirkus Reviews*

„Bardzo podoba mi się, jak Morgan Rice zbudowała postać Thora i świat, w którym żyje. Krainy i stwory, które je zamieszkują, są bardzo dobrze opisane... Podobała mi się [fabuła]. Jest krótka i przyjemna... Postaci drugoplanowych jest w sam raz, by się nie pogubić. W książce opisane są przygody i przerażające chwile, lecz akcja nie jest zbyt groteskowa. To książka idealna dla nastoletniego czytelnika... Początki czegoś niezwykłego...”

– *San Francisco Book Review*

“W pierwszej części epickiej serii fantasy Krąg Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem „Thorem” McLeodem, który

marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– *Publishers Weekly*

„[WYPRAWA BOHATERÓW] to szybka i łatwa lektura. Zakończenia rozdziałów sprawiają, że musisz przekonać się, co zdarzy się dalej i nie chcesz odkładać tej książki. Jest w niej kilka literówek, a imiona czasem są pomyłone, lecz to nie odwraca uwagi od opisanych wątków. Zakończenie książki sprawiło, że nabrałem ochoty, by natychmiast kupić kolejną część, co też zrobiłem. Wszystkich dziewięć części Kręgu Czarnoksiężnika dostępnych jest w sklepie Kindle, a Wyprawa bohaterów dostępna jest za darmo na zachętę! Jeśli szukasz szybkiej i ciekawej książki na wakacje, ta będzie w sam raz.”

– *FantasyOnline.net*

## **Autorstwa Morgan Rice**

**KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY  
POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)**

**KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**  
**WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)**  
**MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)**  
**LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)**

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)  
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)  
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)  
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)  
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)  
NIEBO ZAKLEĆ (CZEŚĆ 9)  
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)  
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)  
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)  
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)  
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)  
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)  
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)  
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

## **THE SURVIVAL TRILOGY**

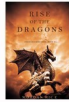
ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)  
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

## **WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW**

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)  
KOCHANY (CZEŚĆ 2)  
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)  
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)  
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)  
ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)  
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)  
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)  
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)  
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

## KINGS AND SORCERERS



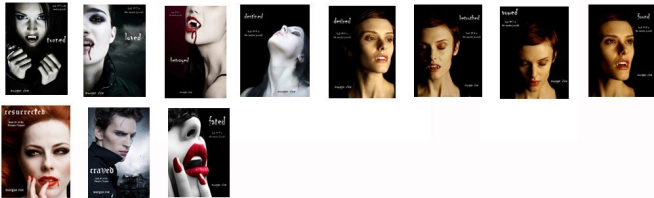
### THE SORCERER'S RING

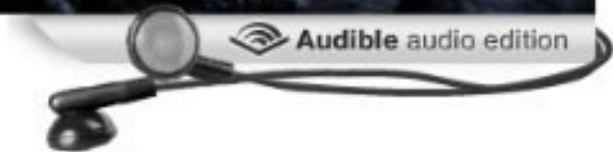


### THE SURVIVAL TRILOGY



### the vampire journals





**Posłuchaj książek z cyklu KRAK  
CZARNOKSIEŻNIKA w formie audiobooka!**

*Cóż takiego przekazać mi pragniesz?  
Jeśli twym celem dobro jest ogółu,*

*Daj honor z jednej strony, z drugiej zaś śmierć,  
A ja na obie spojrzę niewzruszony,  
Bo, bogowie niech mi dopomogą,  
Honor miłuję nad me życie.*

*– William Shakespeare  
Juliusz Cezar*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Thorgrin siedział na grzbiecie Mycoples, która niosła go nad bezkresnymi ziemiami Kręgu, gdzieś na południe, w kierunku Gwendolyn. Thor zacisnął dłoń na Mieczu Przeznaczenia i spojrzał w dół, gdzie ujrzał rozległą, zdającą się nie mieć końca milionową armię Andronicusa, rojącą się po Kręgu jak plaga szarańczy. Poczuł, jak Miecz pulsuje w jego dłoni i wiedział, ku czemu go ponagla. Ku obronie Kręgu. Wypędzeniu najeźdźcy. Miał wrażenie, że Miecz rozkazuje mu – i Thor z chęcią przystał na jego polecenie.

Już niebawem Thor zatoczy koło i dokona zemsty na każdym z intruzów. Teraz, gdy Tarcza ponownie się podniosła, Andronicus i jego ludzie byli uwięzieni; odsiecz z Imperium nie mogła już nadejść i Thor nie zamierzał spocząć, póki nie zabije ich wszystkich.

Nie nastał jednakże jeszcze ku temu czas. Najbardziej naglącą sprawą była jedyna prawdziwa miłość Thora, kobieta, do której tęsknił, od kiedy opuścił Krąg: Gwendolyn. Thor pragnął gorąco znów ją ujrzeć, chwycić ją w objęcia, pragnął przekonać się, że żyje. Wyczuwał pod koszulą pierścień swej matki i nie mógł się już doczekać, gdy ofiaruje go Gwen, wyzna jej swą miłość, poprosi o rękę. Pragnął jej powiedzieć, że między nimi nic się nie zmieniło, że nie dbał o to, co jej się przytrafiło. Darzył ją wciąż takim samym uczuciem – nawet większym – i pragnął, by

o tym wiedziała.

Mycoples zaryczała z cicha i Thor poczuł drżenie jej łusek. Wyczuwał, że Mycoples także chce szybko dotrzeć do Gwendolyn, nim coś jej się stanie. Smoczyca obniżyła lot i na przemian wpadała w chmury i wyłaniała się z nich, uderzając swymi wielkimi skrzydłami, i zdawała się być zadowolona z tego, że jest tutaj, w Kręgu, i niesie Thora na swym grzbiecie. Więź między nimi zacieśniała się i Thor czuł, że Mycoples dzieliła się z nim każdą myślą i życzeniem. Jak gdyby smoczyca była częścią niego.

Gdy kluczyli w obłokach, myśli Thora skierowały się ku Gwen. Spokoju nie dawały mu słowa poprzedniej królowej, wracały wciąż do niego, choć Thor usilnie starał się je od siebie odsunąć. Nowiny, którymi się z nim podzieliła, zabołały go ponad wszelkie wyobrażenie. Andronicus? Jego ojcem?

To nie było możliwe. Gdzieś w głębi duszy Thor łudził się, że być może poprzednia królowa, która wszak nienawidziła go od pierwszych chwil, prowadziła z nim jakąś okrutną grę. Być może chciała zamącić mu w głowie nieprawdą, by go zaniepokoić, trzymać z dala od swej córki, jakiegokolwiek pobudki ją do tego skłaniały. Thor rozpaczliwie pragnął w to wierzyć.

Tak naprawdę jednak gdy wypowiedziała te słowa, rozeszły się one w każdej cząstce jego ciała i duszy. Wiedział, że to prawda. Choć bardzo chciał myśleć inaczej, w chwili, gdy je wyrzekła, wiedział, że Andronicus naprawdę jest jego ojcem.

Myśl ta ciążyła nad Thorem jak zły sen. Żył w zawsze

potajemną nadzieję, iż król MacGil jest jego ojcem, a Gwendolyn jakimś sposobem nie jest jego prawdziwą córką, więc mogą być razem. Thor zawsze łudził się, że w dniu, w którym dowie się, kto jest jego prawdziwym ojcem, wszystko znajdzie się na właściwym miejscu i Thor pojmie swe przeznaczenie.

Dowiedzieć się, że jego ojciec nie jest bohaterem – to jedno. Byłby w stanie przywyknąć do tej myśli. Lecz dowiedzieć się, że jego ojciec jest potworem – najgorszym z potworów – mężczyzną, którego śmierci Thor pragnął bardziej niż czyjejkolwiek innej – z tym nie potrafił się pogodzić. W żyłach Thora płynęła jego krew. Cóż to mogło znaczyć dla Thora? Czy jemu również przeznaczone było zostać potworem? Czy znaczyło to, iż w jego żyłach czai się takie samo zło? Czy przeznaczone mu było stać się takim, jak on? Czy jednak możliwe było, by stał się inny, mimo tej samej krwi? Czy ojciec przekazuje synowi przeznaczenie w ten sposób? Czy też może każde pokolenie tworzy swe własne przeznaczenie?

Thor nie potrafił także pojąć, co to wszystko oznacza dla Miecza Przeznaczenia. Jeśli legenda jest prawdziwa – tylko MacGil może go podnieść – czy to oznacza, iż Thor jest MacGilem? Jeśli tak, jakże Andronicus mógł być jego ojcem? Chyba że, jakimś sposobem, Andronicus jest MacGilem?

Co gorsza, jak Thor mógł wyjawic te wieści Gwendolyn? Jak mógł jej powiedzieć, że jest synem jej najbardziej nienawidzonego wroga? Mężczyzny, który ją zaatakował? Z

pewnością go znienawidzi. Będzie widzieć twarz Andronicusa za każdym razem, gdy spojrzy na Thora. Jednakże musiał jej o tym powiedzieć – nie mógł trzymać tego przed nią w tajemnicy. Czy to zniszczy ich relację?

Krew w żyłach Thora zawrzała z wściekłości. Pragnął zemścić się na Andronicusie za to, że jest jego ojcem, że mu to uczynił. Lecąc, Thor opuścił oczy i omiótł wzrokiem ziemię. Wiedział, że gdzieś tam w dole znajduje się Andronicus. Niebawem spotka się z nim twarzą w twarz. Odnajdzie go. Stanie z nim do walki. I zabije go.

Lecz wprawdzie musiał odnaleźć Gwendolyn. Gdy mijali Las Południowy, Thor wyczuł, że są blisko. Miał złe przeczucie, że za chwilę przydarzy jej się coś potwornego. Popędził Mycoples, czując, że każda chwila może być jej ostatnią.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gwendolyn stała samotnie na górnym gzymisie Wieży Schronienia, odziana w czarną szatę ofiarowaną jej przez mniszki. Miała wrażenie, że mieszka tam od wieków. Powitano ją w ciszy – przemówiła do niej jedna z mniszek, jej przewodniczka, która odezwała się tylko raz, by przekazać jej zasady panujące w tym miejscu: rozmowy były zakazane, podobnie jak nawiązywanie kontaktu z pozostałymi kobietami. Każda z nich pędziła tu żywot w swym własnym, odosobnionym świecie. Każda chciała, by pozostawiono ją w spokoju. Była to wieża schronienia, miejsce dla tych, które pragnęły odzyskać siły. Gwendolyn wiedziała, że nie spotka jej tu żadne z okropieństw świata. Wiedziała jednak także, że jest sama. Całkiem sama.

Gwendolyn rozumiała postawę pozostałych kobiet aż nazbyt dobrze. Ona także życzyła sobie, by pozostawiono ją w spokoju.

Stała teraz na dachu wieży, omiatając spojrzeniem wierzchołki drzew rozległego Lasu Południowego, i czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedziała, że powinna być silna, że nie należy do tych, którzy łatwo się poddają. Była córką króla i małżonką – niemal małżonką – wielkiego wojownika.

Gwendolyn musiała przyznać jednak, iż choć starała się jak tylko potrafiła być silna, jej serce i duch wciąż cierpiały.

Usychała z tęsknoty za Thorem i lękała się, że nigdy do niej nie powróci. A jeśli powróci, gdy dowie się, co jej się przydarzyło, lękała się, że nie będzie chciał już z nią być.

Gwen odczuwała również pustkę w sercu, wiedząc, iż Silesia została zniszczona, iż Andronicus zwyciężył i wszyscy, którzy cokolwiek dla niej znaczyli, zostali pojmani lub zabici. Andronicus panoszył się teraz wszędzie. Zagarnął Krąg i nie mieli się już do czego uciec. Gwen straciła nadzieję, czuła się wyczerpana; zdecydowanie zbyt wyczerpana jak na swój wiek. Co gorsza, czuła, że zawiodła wszystkich; czuła, jak gdyby żyła już zbyt wiele razy i nie miała chęci żyć dalej.

Gwendolyn dała krok naprzód, na występ, na sam skraj gzymsu, tam, gdzie nie powinno się wchodzić. Powoli rozpostarła ręce na boki i trzymała je wyciągnięte po bokach. Poczowała zimny podmuch wiatru, mroźnego wiatru zimy. Dmuchał silnie i Gwen zakołysała się nad brzegiem. Spojrzała w dół i pod swymi stopami ujrzała stromy spadek.

Gwendolyn skierowała wzrok ku niebu i pomyślała o Argonie. Zastanawiała się, gdzie jest, uwięziony w swym własnym świecie, odbywając karę z jej powodu. Ileż by oddała, by go teraz ujrzeć, usłyszeć po raz ostatni jego mądre rady. Być może to by ją ocaliło, sprawiło, że zmieniłaby zdanie.

Lecz Argon zniknął. On także płacił za swe czyny i nie mógł powrócić.

Gwen zamknęła oczy i po raz ostatni pomyślała o Thorze. Gdyby tylko tu był, to mogłoby wszystko odmienić. Gdyby

pozostała jej choć jedna osoba, która darzy ją prawdziwym uczuciem, być może to skłoniłoby ją, by żyć dalej. Spojrzała w stronę widnokregu, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, iż ujrzy Thora. Gdy wpatrywała się w pędzące po niebie obłoki, zdało jej się niejasno, że gdzieś w oddali usłyszała ryk smoka. Był tak odległy, tak cichy, że pewna była, iż musiało jej się zdawać. To jej wyobraźnia płatała jej figle. Wiedziała, że żaden smok nie mógłby znaleźć się tutaj, w Kręgu. Taką samą pewnością żywiła co do tego, iż Thor był daleko stąd, w Imperium, w miejscu, z którego nigdy już nie powróci.

Łzy staczały się po policzkach Gwen, gdy myślała o nim, o życiu, jakie mogli wspólnie wieść. O tym, jak bliscy sobie niegdyś byli. Przywołała wspomnienie wyrazu jego twarzy, brzmienie głosu, jego śmiech. Była pewna, że będą nierozłączni, że nic ich nigdy nie rozdzieli.

– THOR! – Gwendolyn odrzuciła w tył głowę i krzyknęła, chwając się na krawędzi. W myślach błagała, by do niej wrócił.

Lecz jej głos rozniósł się echem na wietrze i ucichł. Thor był daleko stąd.

Gwendolyn opuściła dłonie i musnęła palcami amulet, który ofiarował jej Thor, ten, który niegdyś ocalił jej życie. Wiedziała, że wykorzystała swą jedyną szansę. Na więcej nie może liczyć.

Gwendolyn spojrzała w dół, za krawędź gzymsu, i spostrzegła twarz swego ojca. Otaczała go biała poświata. Uśmiechał się do niej.

Pochyliła się naprzód i jedną stopę wyciągnęła za krawędź,

zamykając oczy i pozwalając, by lekki wiatr muskał jej twarz. Kołysała się, zawisnąwszy pomiędzy dwoma światami, pomiędzy żywymi a umarłymi. Osiągnęła idealną równowagę i wiedziała, że kolejny podmuch wiatru rozstrzygnie za nią, który kierunek obrać.

*Thor, pomyślała. Wybacz mi.*

# ROZDZIAŁ TRZECI

Kendrick jechał na czele wielkiej i wciąż rozrastającej się armii MacGilów, silesian i oswobodzonych wieśniaków z Kręgu. Wysypali się przez główne bramy Silesii na szeroki trakt, kierując się na wschód, ku armii Andronicusa. U boku Kendricka jechali Srog, Brom, Atme i Godfrey, a za nimi, wśród tysięcy innych wojowników, Reece, O'Connor, Conven, Elden i Indra. W drodze mijali zwęglone ciała imperialnych żołnierzy, czarne i zeszywniałe od smoczego oddechu; inni legli martwi od klingi Miecza Przeznaczenia. Thor siał ogromne zniszczenie, jak gdyby sam był armią. Kendrick rozważał to wszystko w głowie i był pełen podziwu dla szkód zadanych wrogowi przez Thora, dla siły Mycoples i Miecza Przeznaczenia.

Kendrick nie potrafił się nadziwić obrotowi wydarzeń. Ledwie kilka dni temu wszyscy byli uwięzieni, znajdowali się pod jarzmem Andronicusa i zmuszeni byli przyznać się do klęski; Thor był nadal w Imperium, Miecz Przeznaczenia – nieziszczonym snem – i nie żywili nadziei, że kiedykolwiek stamtąd powrócą. Kendrick i reszta zostali ukrzyżowani i pozostawieni na śmierć, i zdawało się, że wszystko już stracone.

Teraz jednak jechali na swych wierzchowcach jako wolni mężczyźni, na powrót stając się żołnierzami i rycerzami. Przybycie Thora dodało im sił i szala zwycięstwa zdawała przechylać się na ich stronę. Mycoples była darem niebios,

potężną bronią spadającą z nieba, Silesia była teraz wolnym miastem, a ziemie Kręgu, miał być wypełnione żołnierzami Imperium, zaśmiecone były ich trupami. Droga prowadząca na wschód obrzeżona była ciałami imperialnych żołnierzy daleko jak okiem sięgnąć.

Choć to wszystko niezwykle go pokrzepiało, Kendrick wiedział, że pół miliona ludzi Andronicusa czeka po drugiej stronie Pogórza. Odparli ich na jakiś czas, lecz nie wygnali z Kręgu. A Kendricka i pozostałych nie zadowalało siedzenie z założonymi rękoma w Silesii i czekanie, aż Andronicus się przegrupuje i zaatakuje ponownie – nie chcieli także pozwolić im uciec i wrócić do Imperium. Tarcza się podniosła i choć Andronicus nadal dysponował znacznie liczniejszą armią, teraz przynajmniej mieli szansę odnieść zwycięstwo. Teraz to armia Andronicusa się wycofywała, i Kendrick i pozostali zdecydowani byli kontynuować zapoczątkowany przez Thora ciąg zwycięstw.

Kendrick odwrócił się przez ramię ku tysiącom żołnierzy i wolnych mężczyzn jadących z nim i ujrzał na ich twarzach determinację. Wszyscy oni zakosztowali niewolnictwa i porażki i widział, jak droga im była teraz wolność. Nie tylko przez wzgląd na siebie samych, lecz także na swe żony i rodziny. Każdy z nich był rozgorączkowany, ośmielony, by zemścić się na Andronicusie i upewnić się, że nie zaatakuje ponownie. Była to armia mężczyzn gotowych walczyć na śmierć i życie, i jechali jak jeden mąż. Wszędzie, gdzie docierali, oswobadzali kolejnych ludzi, rozcinając krępujące ich więzy i zbierając ogromną i całą

czas się powiększającą armię.

Kendrick dochodził do siebie po udęce na krzyżu. Nie wróciły mu jeszcze dawne siły, a w nadgarstkach i kostkach, tam, gdzie szorstkie sznury wżynały się w jego ciało, czaił się wciąż nieustający ból. Spojrzał na Sroga, Broma i Atme, których krzyże sąsiadowały z jego, i ujrzał, iż oni także nie odzyskali jeszcze dawnych sił. Ukrzyżowanie odcisnęło piętno na każdym z nich. Jednak mimo tego jechali dumnie, pewnie. Nic nie pomagało zapomnieć o odniesionych ranach szybciej niż szansa na walkę o życie, szansa na zemstę.

Kendrick nie posiadał się z radości, że jego młodszy brat Reece i pozostali legionieści wrócili z wyprawy i raz jeszcze jadą u jego boku. Smutkiem napełnił go widok rzezi Legionu w Silesii, i ich powrót przyniósł mu nieco ukojenia. Gdy dorastali, jego i Reece'a łączyły zażyłe stosunki, Kendrick ochraniał go, przyjmując rolę drugiego ojca, gdy król MacGil nie miał czasu na ojcowskie obowiązki. W pewien sposób to, że był jego przyrodnim bratem, pozwoliło Kendrickowi zbliżyć się jeszcze bardziej do Reece'a – nie ciążył na nich obowiązek, by być blisko i zbliżyli się do siebie wyłącznie dlatego, że chcieli. Kendrickowi nigdy nie udało się zbliżyć do pozostałych młodszych braci – Godfrey spędzał czas z wykolejeńcami w karczmie, a Gareth – cóż, Gareth był Garethem. Reece jako jedyny z rodzeństwa wybrał pole bitwy, jako jedyny także chciał wieść życie, które wybrał Kendrick. Serce Kendricka wzbierało dumą na myśl o nim.

W przeszłości, gdy Kendrick jechał u boku Reece'a, zawsze go ochraniał, miał na niego baczenie, lecz od jego powrotu Kendrick zauważył, że Reece sam stał się prawdziwym, zahartowanym wojownikiem, i nie odczuwał już potrzeby, by tak bardzo nad nim czuwać. Zastanawiał się, jakie trudności napotkał Reece w Imperium, co przekształciło go w tak zahartowanego i zręcznego wojownika, jakim się stał. Nie mógł się doczekać, by usiąść z nim i wysłuchać jego opowieści.

Kendrick nie posiadał się również z radości, że Thor powrócił, i nie tylko przez wzgląd na to, iż ich oswobodził – także dlatego, iż darzył go sympatią i ogromnym szacunkiem, i troszczył się o niego jak o brata. Kendrick odtwarzał wciąż w pamięci widok Thora powracającego z Mieczem w dłoni. Nie potrafił się temu nadziwić. Tego widoku nie spodziewał się nigdy ujrzeć; co więcej, nie spodziewał się nigdy ujrzeć, jak *ktokolwiek* unosi Miecz Przeznaczenia, a co dopiero Thor, jego własny giermek, mały, prosty chłopak z rolniczej wsi na peryferiach Kręgu. Pochodzący z zewnątrz. I nawet nie MacGil.

A może się mylił?

Kendrick popadł w zadumę. Powtarzał w myślach słowa legendy: jedynie MacGil może władać Mieczem. W głębi serca Kendrick musiał przyznać, że żywił zawsze nadzieję, iż to on będzie tym, który go podniesie. Żywił nadzieję, iż ostatecznie potwierdzi dzięki temu, że jest prawdziwym MacGilem, pierworodnym. Roił sobie, że jakimś sposobem, jednego dnia okoliczności zezwolą mu podjąć tę próbę.

Nie otrzymał jednakże nigdy tej szansy, i nie zazdrościł Thorowi jego osiągnięcia. Kendrick nie był pożądlivy; wręcz przeciwnie, myślał o przeznaczeniu Thora. Nie pojmował go jednak. Czy legenda nie była prawdziwa? Czy też może Thor był MacGilem? Jakim sposobem? Chyba że Thor również był synem króla MacGila. Kendrick zamyślił się. Nie było tajemnicą, iż jego ojciec chędożył wiele kobiet poza małżeńskim łóżem – w ten sposób on, Kendrick, został poczęty.

Czy to dlatego Thor wypadł tak gwałtownie z komnaty w Silesii po rozmowie z matką? O czym dokładnie mówili? Jego matka nie chciała tego zdradzić. Po raz pierwszy trzymała coś przed nim w tajemnicy, przed nimi wszystkimi. Dlaczego właśnie teraz? Jaka tajemnicę skrywała? Co takiego mogła powiedzieć, co sprawiłoby, że Thor wybiegł tak gwałtownie, nie mówiąc im ani słowa?

Kendrick zamyślił się na temat swego własnego ojca, swego pochodzenia. Choć bardzo chciał, by było inaczej, gorzał w nim ogień na myśl, że pochodził z nieprawego łóża i po raz sam nie wiedział który zastanowił się, kim była jego prawdziwa matka. Przez całe swe życie słyszał różne pogłoski o różnych kobietach, które chędożył jego ojciec, król MacGil, lecz nigdy nie był pewien. Gdy wszystko się uspokoi – o ile kiedyś to nastąpi – i w Kręgu wszystko będzie jak dawniej, Kendrick postanowił zyskać pewność, kim jest jego matka. Stanąć przed nią. Spytać, dlaczego go porzuciła, dlaczego nigdy nie była częścią jego życia. Jak poznała jego ojca. Naprawdę pragnął jedynie ją poznać,

ujrzeć jej twarz – był ciekaw, czy wygląda jak on – i usłyszeć od niej, iż rzeczywiście jest prawowitym synem, jak każdy inny.

Kendrick był rad, iż Thor odleciał, by sprowadzić Gwendolyn, lecz w głębi duszy chciał, by pozostał z nimi. Rzucając się w bitwę niewielkimi siłami naprzeciw dziesiątkom tysięcy ludzi Andronicusa, Kendrick zdawał sobie sprawę, że teraz bardziej niż kiedykolwiek przydaliby im się Thor i Mycoples.

Kendrick jednakże był wojownikiem z krwi i kości i nie zaliczał się do tych, którzy siedzieli spokojnie i czekali na innych, by toczyli jego boje. Miał tego podążać za tym, co podpowiadał mu instynkt: wyruszyć i pokonać tyle armii Imperium, ile mu się uda z jego ludźmi. Nie posiadał specjalnych broni, jak Mycoples czy Miecz Przeznaczenia, lecz miał ręce, te same, których używał, od kiedy był chłopcem. I nigdy nie potrzebował nic więcej.

Wjeżdżali po zboczu wzgórza, a gdy dotarli na jego szczyt, Kendrick rozejrzał się i ujrzał w oddali niewielkie miasto MacGilów, Lucię, pierwsze miasto na wschód od Silesii. Trupy żołnierzy Imperium obrzeżały drogę i najwyraźniej to tutaj kończyły się zniszczenia, które zadał Thor. Na dalekim widnokregu Kendrick dostrzegł cofający się batalion armii Andronicusa, zmierzający ku wschodowi. Przypuszczał, że kierują się w stronę głównego obozu, by bezpiecznie skryć się po drugiej stronie Pogórza. Trzon armii cofał się – lecz pozostawił za sobą mniejszy oddział, by bronił Lucii. Kilka tysięcy ludzi Andronicusa stacjonowało w mieście i pełniło

przed nim straż. Kendrick widział także mieszkańców miasta, zniewolonych przez żołnierzy.

Kendrick przywołał wspomnienia tego, co spotkało ich w Silesii, jak ich traktowano i jego twarz poczerwieniała z żądzы zemsty.

– DO ATAKU! – krzyknął Kendrick.

Uniósł wysoko miecz, a za nim rozbrzmiały ożywione okrzyki tysięcy żołnierzy.

Kendrick pogonił kopniakiem konia i rzucili się w pełnym pędzie, jak jeden mąż, w dół zbocza, kierując się ku Lucii. Dwie armie gotowały się do starcia i choć ich liczby były równe, Kendrick wiedział, że hartem ducha przewyższają przeciwnika. Ten pozostawiony w mieście oddział armii Andronicusa to wycofujący się najeźdźcy, a Kendrick i jego ludzie gotowi byli walczyć na śmierć i życie, by obronić ojczyste ziemie.

Jego okrzyk wojenny wzbił się pod niebiosa, gdy zbliżali się do bram Lucii. Nadjechali tak szybko i niespodziewanie, iż kilka dziesiątek imperialnych strażników odwróciło się i popatrzyło po sobie w zupełnej konsternacji, wyraźnie nie spodziewając się tego ataku. Żołnierze Imperium odwrócili się, zniknęli za bramami i jak szaleńcy poczęli obracać korby, by opuścić broń.

Byli jednak zbyt powolni. Kilku łuczników Kendricka, jadący na przedzie, wystrzeliło i położyło ich. Umiejętnie wypuszczone strzały zatopiły się w ich piersiach i plecach, odnajdując luki w zbroi. Kendrick cisnął włócznią, podobnie jak jadący u jego boku Reece. Kendrick trafił do celu – w ogromnego wojownika

naciągającego cięciwę łuku – i niezwykle wrażenie zrobiło na nim to, że bez najmniejszego trudu Reece trafił do swego celu, przesywając serce jednego z wojowników. Brama pozostała otwarta i ludzie Kendricka nie wahali się. Przypuścili szarżę z ogromnym okrzykiem bitewnym, mierząc w serce miasta, nie zatrzymując się, by uniknąć potyczki.

Rozległ się głośny szcęk metalu, gdy Kendrick i pozostali unieśli miecze, topory, włócznie i halabardy i zderzyli się z tysiącami żołnierzy Imperium, którzy wyjechali im naprzeciw. Pierwszy z wrogiem zetknął się Kendrick, który uniósł swą tarczę i blokując cios, w tym samym ruchu zamachnął się mieczem i zabił dwóch żołnierzy. Bez chwili zastanowienia obrócił się i zatopił miecz w brzuchu innego przeciwnika po drugiej stronie. Gdy zabijał mężczyznę, Kendrick myślał o zemście; myślał o Gwendolyn, o swoich ludziach, o wszystkich mieszkańcach Kręgu, którzy ucierpieli.

Jadący obok Reece wziął zamach buzdyanem i uderzył jednego z żołnierzy w bok głowy, strącając go z konia, a następnie uniósł tarczę i zablokował cios nadchodzący ku niemu z boku. Uderzył i powalił napastnika buzdyanem. Jadący obok Elden rzucił się naprzód ze swym wielkim toporem i opuścił go na żołnierza, który zamierzał się na Reece'a. Przebił jego tarczę i trafił w pierś.

O'Connor oddał kilka strzałów, które trafiły precyzyjnie do celu nawet z tak niedużej odległości, podczas gdy Conven rzucił się w gęstwę bitwy i ciął zaciekle, rzucając się przed

pozostałych mężczyzn, nie zaprzatając sobie nawet głowy tym, by unieść tarczę. Miast tego siekł mieczem, zmierzając w środek skupiska żołnierzy Imperium, jak gdyby chciał zginać. Lecz, co zaskakujące, nie stało się tak. Miast tego zadawał śmierć na wszystkie strony.

Indra walczyła nieopodal. Była nieustraszona, dzielniejsza niż większość mężczyzn. Używała swego sztyletu z wprawą i sprytem, kierując kolejne szeregi i zatapiając ostrze w gardłach żołnierzy Imperium. Myślała wtedy o swych ojczystych ziemiach, o tym, jak wiele jej ludzie wycierpieli, uciśnieni przez Imperium.

Jeden z żołnierzy Imperium zamachnął się toporem na głowę Kendricka, który nie zdążył się uchylić. Przygotował się na cios, lecz usłyszał donośny brzęk i ujrzał swego przyjaciela Atme, który blokował cios tarczą. Atme dobył krótkiej włóczni i zatopił ją w brzuchu napastnika. Kendrick wiedział, iż – po raz kolejny – zawdzięcza przyjacielowi życie.

Gdy zbliżył się do nich kolejny żołnierz, z łukiem i strzałą wymierzoną w Atme, Kendrick rzucił się do przodu i odepchnął mieczem, wytracając mu łuk z rąk, aż poleciał wysoko w niebo, a strzała minęła swój cel i poszybowała nad głową Atme. Następnie Kendrick uderzył rękojęścią miecza w grzbiet nosa żołnierza i strącił go z konia na ziemię, gdzie stratowano go na śmierć. Teraz on ocalił życie Atme.

I tak toczyła się bitwa, dalej i dalej, armie odpierały cios za cios i po obu stronach padali ludzie, lecz więcej po

stronie Imperium – ludzie Kendricka miotani sząłem parli coraz głębiej w miasto. W końcu rozmach, jakiego nabrali, pchnął ich do przodu jak falę. Imperium miało silnych wojowników, nawykłych jednakże do tego, by atakować. Tym razem zaskoczono ich i nie byli już w stanie zebrać się i powstrzymać naporu armii Kendricka. Zostali odepchnięci i padali coraz liczniej.

Po blisko godzinie zacieklej walki straty Imperium przerodziły się w całkowity odwrót. Po ich stronie rozbrzmiał dźwięk rogu i jeden za drugim zaczęli się odwracać i galopować w przeciwnym kierunku, próbując uciec z miasta.

Z jeszcze głośniejszym krzykiem Kendrick i jego ludzie puścili się w pogoń za nimi – ścigali ich przez całą Lucię i dalej, gdy wypadli za tylne bramy.

Który żołnierz batalionu – nadal liczącego setki ludzi – pozostał przy życiu, pędził co tchu w pozornym zamęcie ku horyzontowi. Pojmani ludzie MacGila w Lucii wydali z siebie donośny okrzyk, gdy zostali oswobodzeni. Ludzie Kendricka rozcinali liny i oswobadzali ich po drodze, i pojmani nie tracili czasu – dopadali koni poległych żołnierzy Imperium, dosiadali ich, odarłszy wpierw zwłoki z broni, i przyłączali się do wojowników Kendricka.

Armia Kendricka niemal podwoiła swą wielkość i, licząc tysiąc mężów, pędziła za żołnierzami Imperium, jadąc w górę i dół wzniesień. Byli coraz bliżej i O'Connor wraz z innymi łucznikami zdołali położyć niektórych z nich, ich ciała padały tu

i tam.

Pościg trwał i Kendrick zastanawiał się, dokąd zmierzają, gdy wraz ze swymi ludźmi dotarł na wyjątkowo wysokie wzniesienie. Gdy spojrzął w dół, ujrzał jedno z największych miast MacGila na wschód od Silesii – Vinesię – skrytą w dolinie i otoczoną z dwu stron górami. Było to solidne miasto, znacznie wspanialsze niż Lucia, o masywnych kamiennych murach i wzmacnianych żelaznych bramach. To tutaj, zdał sobie sprawę Kendrick, uciekały resztki batalionu – miasto chroniły dziesiątki tysięcy ludzi Andronicusa.

Kendrick zatrzymał się wraz ze swymi ludźmi na szczycie wzniesienia i począł rozważać sytuację. Vinesia była sporym miastem, a ludzie Andronicusa przewyższali ich liczebnie. Wiedział, że podjęcie próby niosłoby ze sobą zbyt wielkie ryzyko, że najbezpieczniejszy byłby powrót do Silesii i wdzięczność za zwycięstwo, które odnieśli tego dnia.

Kendrick nie miał jednak ochoty na bezpieczne wybory – ani jego ludzie. Pragnęli krwi. Pragnęli zemsty. A w dniu takim jak ten szanse nie miały już znaczenia. Nastął czas, by pokazać ludziom Imperium, z czego wykuci są MacGilowie.

– NAPRZÓD! – wrzasnął Kendrick.

Tysiące mężczyzn ruszyły naprzód z krzykiem, szarżując zuchwale w dół zbocza, ku wielkiemu miastu i większemu przeciwnikowi, gotowi oddać życie, zaryzykować wszystko dla honoru i męstwa.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gareth kasłał i rzeził, przemierzając opustoszałe ziemie. Potykał się co rusz, usta miał spękane z braku wody, a pod jego zapadniętymi oczami znajdowały się ciemne kręgi. Kilka ostatnich dni było koszmarem, podczas którego spodziewał się zginąć więcej niż raz.

Gareth cudem umknął ludziom Andronicusa w Silesii, gdzie skrył się w tajemnym przejściu głęboko w ścianie i czekał na właściwy moment. Czekał, zwinięty w ciemności jak szczur. Miał wrażenie, że spędził tam wiele dni. Był świadkiem tego, co się wydarzyło w mieście – nie dowierzając własnym oczom patrzył, jak Thor zjawia się na grzbiecie smoka i zabija wszystkich tych żołnierzy. W powstałym zamęcie Gareth wywęszył swą szansę.

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, prześlizgnął się przez tylne bramy Silesii i obrał drogę na południe wzdłuż Kanionu, trzymając się głównie lasu, by nie zostać spostrzeżonym. Nie miało to znaczenia – drogi i tak były opustoszałe. Wszyscy wyruszyli na wschód, by walczyć w wielkiej bitwie o Krąg. Idąc, Gareth widział zwęglone ciała ludzi Andronicusa obrzeżające drogę i wiedział, że bitwy tutaj, na południu, zostały już stoczone.

Kierował się coraz dalej na południe, instynktownie zmierzając ku Królewskiemu Dworowi – lub temu, co z

niego pozostało. Wiedział, że został splądrowany przez ludzi Andronicusa, że najpewniej znajdzie jego zgliszcza, lecz i tak chciał się tam udać. Pragnął znaleźć się z dala od Silesii, w jedynym miejscu, gdzie – jak wiedział – znajdzie schronienie. Miejscu opuszczonym przez innych. Miejscu, w którym on, Gareth, był niegdyś najwyższym władcą.

Po dniach wędrówki Gareth, osłabiony, mającąc z głodu, wyłonił się w końcu z lasu i w oddali spostrzegł Królewski Dwór. Trwał tam wciąż, jego mury wciąż stały na miejscu, przynajmniej po części, choć osmalone i rozsypujące się. Wokół leżały zwłoki ludzi Andronicusa – dowód na to, iż był tu Thor. Poza tym nie było tam nikogo, prócz hulającego wiatru.

Odpowiadało to Garethowi. I tak nie zamierzał wkraczać do miasta. Przybył tu, by udać się do niewielkiego, ukrytego zabudowania tuż przed murami. Chadzał tam w dzieciństwie. Był to okrągły, marmurowy budynek, wznoszący się ledwie na kilka stóp nad ziemią, które dach zdobiły misternie rzeźbione posągi. Zawsze sprawiał wrażenie pradawnego – był tak nisko osadzony, że zdawał się wyrastać z czeluści ziemi. I taki był. Była to krypta MacGilów. Miejsce, w którym złożono ciało jego ojca – a przed nim, jego ojca.

Gareth wiedział, że krypta pozostanie nietknięta. Wszak komu zależałoby na zniszczeniu grobowca? Wiedział, że jest to jedyne miejsce, w którym nikt nigdy nie będzie go szukał, gdzie będzie mógł się skryć. Było to miejsce, w którym mógł się schronić, mógł pozostać zupełnie sam. I miejsce, w którym mógł

być ze swymi przodkami. Choć Gareth nienawidził swego ojca, ostatnimi dniami z zaskoczeniem zaczął dostrzegać, iż pragnie być bliżej niego.

Gareth przyspieszył kroku, idąc przez puste pola. Zimny podmuch wiatru sprawił, że zadrżał. Okrył się ciaśniej peleryną. Usłyszał piskliwe zawodzenie zimowego ptaka, a gdy spojrzał w górę, ujrzał, że ogromne, okropne czarne ptaszysko zatacza koła wysoko nad nim. Z każdym piskiem z pewnością spodziewało się, że Gareth upadnie i stanie się jego kolejnym posiłkiem. Gareth nie dziwił mu się. Gonił resztkami sił i był przekonany, że zdawał się temu ptaszysku wyśmienitym posiłkiem.

W końcu dotarł do budynku, obiema dłońmi chwycił masywną żelazną klamkę i szarpnął z całych sił. Świat wokół niego zawirował i Gareth niemal zaczął majaczyć z wycieńczenia. Drzwi zaskrzyphiały i musiał użyć resztek sił, by je otworzyć.

Gareth zniknął szybko w ciemności, a żelazne drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, który poniósł się echem.

Chwycił niezapaloną pochodnię ze ściany, gdzie – jak wiedział – się znajdowała, i rozпалиł ją. Zapłonęła wystarczająco jasno, by widział stopnie, po których schodził coraz głębiej i głębiej w mrok. Im niżej schodził, tym bardziej przenikliwy stawał się chłód i tym mocniej dął wiatr. Wicher wdzierał się tu, na dół, przez niewielkie szczeliny. Gareth nie potrafił odegnać uczucia, że to jego przodkowie wyją, potępiając jego uczynki.

– ODEJDŹCIE! – krzyknął do nich.

Jego głos rozniósł się echem, odbiwszy się od ścian krypty.

– NIEBAWEM DOSTANIECIE TO, CZEGO CHCECIE!

Lecz wiatr nie ustawał.

Gareth, rozwścieczony, szedł niżej, aż dotarł w końcu do wspaniałej, marmurowej komnaty, o wysokich na dziesięć stóp stropach, gdzie wszyscy jego przodkowie leżeli złożeni w marmurowych grobowcach. Gareth przemierzył ponuro komnatę, zmierzając ku samemu jej końcowi, gdzie spoczywał jego ojciec. Jego kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki.

Dawny Gareth roztrzaskałby grobowiec ojca. Teraz jednakże – sam nie wiedział, skąd ta zmiana – zaczynał odczuwać z nim pewną więź. Nie potrafił tego pojąć. Być może to wina ulatującego działania opium; a może powodował to fakt, iż wiedział, że on sam także wkrótce umrze.

Gareth dotarł do wysokiego grobowca i pochylił się, opierając na nim głowę. Zaskoczył go widok własnych łez.

– Tęskno mi do ciebie, ojcze – zawodził Gareth. Jego głos odbił się echem w pustce.

Łkał i łkał, i łzy spływały po jego policzkach, aż kolana mu osłabły i osunął się, wycieńczony, opierając się o marmur. Przysiadł, wsparty o nagrobek. Wiatr zawył, jak gdyby w odpowiedzi, i Gareth odłożył na ziemię pochodnię, która płonęła coraz słabiej i słabiej – był to maleńki płomień ginący w mroku. Gareth wiedział, że niebawem wszystko okryje ciemność i dołączy do tych, których darzy największym uczuciem.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Steffen kroczył ponuro samotnym leśnym szlakiem, oddalając się z wolna od Wieży Schronienia. Serce mu pękało na myśl, że zostawił tam Gwendolyn, kobietę, którą poprzysiągł chronić. Bez niej był niczym. Od chwili, w której ją poznał czuł, że jego życie wreszcie nabrało sensu – było nim czuwanie nad nią i poświęcenie swych dni, by odwdziżyć się za to, że pozwoliła mu – jemu, prostemu słudze – piąć się w górę. Nade wszystko jednak wdzięczny był za to, że jako pierwsza osoba w jego życiu Gwendolyn nim nie pogardzała i nie lekceważyła go, oceniając po tym, jak wyglądał.

Steffena przepełniała duma, gdyż pomógł jej bezpiecznie dotrzeć do Wieży. Lecz na myśl o tym, że ją tam pozostawił, odczuwał wewnątrz pustkę. Dokąd się teraz uda? Cóż pocnie?

Gdy nie musiał już jej chronić, jego życie ponownie zdało mu się bezcelowe. Nie mógł wrócić do Królewskiego Dworu ani Silesii: Andronicus podbił obydwa miasta i Steffen przypomniał sobie zniszczenia, jakie widział, gdy zbiegali z Silesii. Spojrzawszy na miasto ostatni raz, ujrzał swych ludzi – jeńców i niewolników. Powrót nie okazałby się rozsądnym rozwiązaniem. Poza tym Steffen nie chciał ponownie przemierzać Kręgu i znaleźć się tak daleko od Gwendolyn.

Steffen błądził bez celu przez wiele godzin, posuwając się krętymi leśnymi ścieżkami, i zbierał myśli. W końcu coś

przyszło mu do głowy. Szedł dalej wiejską dróżką na północ, prowadzącej do wzgórza, najwyższego punktu w okolicy, z którego dostrzegł niewielkie miasto wzniesione na szczycie innego wzgórza w oddali. Ruszył w jego kierunku, a gdy dotarł na górę, obrócił się i upewnił, że osada zapewniała to, co było mu potrzebne: doskonały widok na Wieżę Schronienia. Jeśli Gwendolyn kiedykolwiek postanowi ją opuścić, chciał być w pobliżu, by mieć pewność, że będzie mógł stanąć u jej boku, towarzyszyć jej i ją chronić. Wszak poprzysiągł jej swą lojalność. Nie armii bądź miastu, lecz jej. Była jego narodem.

Gdy Steffen wszedł do niewielkiej, prostej wioseczki, postanowił zostać tam, w miejscu, z którego zawsze będzie mógł obserwować Wieżę i wyglądać Gwendolyn. Gdy przechodził przez jej bramy, ujrzał, że była to nijaka, biedna osada, ot, jedna z maleńkich wiosek na peryferiach Kręgu, tak przysłonięta Lasem Południowym, że ludziom Andronicusa z pewnością nawet nie przyszło na myśl, by się tam zapuścić.

Steffena powitały ciekawskie spojrzenia tuzinów wieśniaków, na twarzach których malowały się ignorancja i brak współczucia. Wpatrywali się w niego z rozdziawionymi buziami i dobrze mu znanymi wzgardą i drwiną, z którymi zmagał się od urodzenia. Czuł na sobie ich szydercze spojrzenia.

Steffen miał chęć odwrócić się i uciec, lecz zmusił się, by tego nie robić. Musiał zostać niedaleko Wieży i przez wzgląd na Gwendolyn przetrzymać wszystko.

Jeden z wieśniaków, krzepki mężczyzna, który przekroczył

już czterdziesty rok życia, podobnie jak pozostali mający na sobie łachmany, obrócił się i ruszył w jego stronę z podłym uśmiechem na twarzy.

– Cóż my tu mamy, cóż to za odmieniec?

Pozostali wybuchnęli śmiechem, zwracając się ku nim i podchodząc.

Steffen zachował spokój, spodziewając się takiego powitania – przez całe swe życie nie natykał się na inne. Wiedział już, że im głębiej na prowincji, tym większą przyjemność ludzie czerpią z wyszydzania go.

Steffen sięgnął ręką w tył i upewnił się, że łuk znajduje się w gotowości na jego plecach, na wypadek gdyby wieśniacy okazali się nie tylko okrutni, lecz także skorzy do bitki. Wiedział, że gdyby zaszła potrzeba, mógłby położyć kilku z nich szybciej, niż zdążyliby mrugnąć. Lecz nie przybył tu, by walczyć. Szukał tu schronienia.

– A może nie jest tylko zwykłym dziwołagiem, co? – spytał inny, gdy spora i wciąż się powiększająca grupa groźnie wyglądających wieśniaków zacieśniała wokół niego koło.

– Po jego oznaczeniach widać, że nie jest – rzekł inny. – Wygląda mi to na królewską zbroję.

– A ten łuk – to piękna skóra.

– O strzałach nie wspominając. Złote groty, czy tak?

Zatrzymali się ledwie kilka stóp przed nim, łypiąc na niego groźnie spode łbów. Przypominali mu tych, którzy dręczyli go, gdy był dzieckiem.

– Kim więc jesteś, dziwołagu? – spytał jeden z nich, przypatrując mu się.

Steffen wziął głęboki oddech, zdecydowany zachować spokój.

– Nie zamierzam wyrządzić wam krzywdy – zaczął.

Wieśniacy wybuchnęli śmiechem.

– Krzywdy? Ty? Jakaż to krzywdę mógłbyś nam wyrządzić?

– Nie skrzywdziłbyś nawet naszych kurek! – parsknął śmiechem inny.

Steffenowi krew napłynęła do twarzy, gdy tłum roześmiał się głośniejsz, lecz nie pozwolił, by wyprowadzili go z równowagi.

– Szukam miejsca, w którym mógłbym otrzymać nocleg i strawę. Mam nawykłe do pracy ręce i silne plecy. Najmijcie mnie do pracy, a nie będę się wam naprzykrzał. Nie trzeba mi wiele. Nie więcej niż każdemu innemu człowiekowi.

Steffen pragnął zatracić się ponownie w jakiejś niewdzięcznej pracy, jak przez te wszystkie lata spędzone w czeluściach zamku, w służbie u króla MacGila. Pomogłoby mu to odegnać myśli, które go dręczyły. Mógłby wykonywać ciężką pracę i żyć nieznany przez nikogo, do czego przywykł, nim poznał Gwendolyn.

– Nazywasz siebie człowiekiem? – zawołał jeden z nich ze śmiechem.

– Może nam się do czegoś przyda – zawołał inny.

Steffen spojrział na niego z nadzieją.

– Do toczenia bitew z naszymi psami i kurkami!

Wieśniacy wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Zapłaciłbym niezłą sumkę, żeby to zobaczyć!

– Jeśli jeszcze nie spostrzeżliście, w Kręgu toczy się wojna – odrzekł chłodno Steffen. – Jestem przekonany, iż nawet w tak niewielkiej wiosce na prowincji jak ta przyda wam się para rąk, by nie zabrakło zapasów.

Wieśniacy spojrzeli po sobie zbici z pantałyku.

– Oczywiście, że wiemy o wojnie – rzekł. – Lecz nasza wieś jest zbyt mała. Armie się tu nie zapuszczą.

– Nie podoba mi się, jak mówisz – powiedział inny. – Tak wymyślnie? Wygląda mi na to, że dawali ci nauki. Myślisz, żeś lepszy niż my?

– Nie jestem lepszy niż żaden z was – rzekł Steffen.

– To chyba jasne – zaśmiał się inny.

– Dostyc tych żartów! – krzyknął jeden z wieśniaków poważnym głosem.

Postąpił naprzód, rozpychając innych na boki silną dłońią. Był starszy niż pozostali i sprawiał wrażenie poważnego człowieka. Tłum zamilkł w jego obecności.

– Jeśli rzeczywiście o to ci chodzi – rzekł mężczyzna swym głębokim, szorstkim głosem. – Przyda mi się dodatkowa para rąk w młynie. Płacę workiem zboża i dzbanem wody na dzień. Śpisz w stodole, jak pozostałe chłopaki z wioski. Jeśli przystajesz na te warunki, najmę cię.

Steffen skinął do niego głową, rad, iż wreszcie pojawił się ktoś, kto potraktował go poważnie.

– Nie proszę o nic więcej – powiedział.

– Tędy – rzekł mężczyzna, torując sobie drogę przez tłum.

Steffen podążył za nim i stanął przed ogromnym, drewnianym młynem zbożowym, wokół którego zebrani byli młodzieńcy i mężczyźni. Każdy z nich, zlany potem i pokryty pyłem, stał w błocie i pchał ogromne, ciężkie drewniane koło, chwytając szprychę i idąc z nią naprzód. Steffen zatrzymał się, przyjrzał, na czym polega praca i zrozumiał, że będzie to katorga. W sam raz.

Steffen odwrócił się, by rzec mężczyźnie, że przyjmuje jego propozycję, lecz ten już odszedł, założywszy, że tak będzie. Wieśniacy po rzuceniu kilku ostatnich drwin zajęli się na powrót swymi sprawami, a Steffen spojrział przed siebie, na koło, na nowe życie, które go czekało.

Przez chwilę był słaby, pozwolił sobie marzyć. Roił sobie życie w zamkach, arystokrację i wysoką pozycję. Widział siebie jako ważną osobistość, prawą rękę królowej. Powinien był wiedzieć, że nie powinien folgować swej wyobraźni. Co oczywiste, takie życie nie było mu przeznaczone. Nigdy. To, co mu się przytrafiło, poznanie Gwendolyn, było łutem szczęścia. Teraz jego życie ograniczać się będzie do tego. Lecz było to przynajmniej życie, które znał. Życie, które rozumiał. Życie pełne znoju. A bez Gwendolyn – może to i nawet lepiej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Thor ponaglał Mycoples, gdy mknęli przez chmury, zbliżając się coraz bardziej do Wieży Schronienia. Thor czuł każdą cząstką swego ciała, że Gwen znajduje się w niebezpieczeństwie. Czuł to drżenie w koniuszkach palców u rąk, przebiegało przez całe jego ciało, mówiło mu, *ostrzegalo* go. Szybciej, szeptało mu.

*Szybciej.*

– Szybciej – ponaglił Thor Mycoples.

Mycoples wydała z siebie w odpowiedzi cichy ryk, uderzając silniej swymi ogromnymi skrzydłami. Thor nie musiał nawet wypowiadać tych słów – Mycoples pojmowała wszystko, jeszcze zanim to wypowiedział – lecz i tak to zrobił. Poczul się dzięki temu lepiej. Czuł się bezradny. Czuł, że coś bardzo złego dzieje się z Gwen i że liczy się każda sekunda.

Przebili się w końcu przez skłębione chmury i wtedy Thora ogarnęła ulga, ujrzał bowiem wznoszącą się w oddali Wieżę Schronienia. Była to budowla pradawna i niesamowita, budząca dziwny niepokój – idealnie okrągła, smukła wieża wyciągająca się ku niebu, niemal sięgająca obłoków. Wzniesiono ją z pradawnego czarnego, błyszczącego kamienia i Thor nawet już tutaj wyczuwał bijącą z niej energię.

Gdy znaleźli się bliżej, nagle dostrzegł coś wysoko na dachu wieży. Był to jakiś człowiek. Stał na krawędzi z rozpostartymi na boki rękoma. Oczy miał przymknięte i kołysał się na wietrze.

Thor natychmiast domyślił się kto to.

Gwendolyn.

Serce zaczęło mu się tłuc w piersi, gdy ją ujrzał. Wiedział, o czym ona myśli. Wiedział też dlaczego. Myślała, że już o nią nie dbał i Thor nie potrafił się pozbyć wrażenia, że to jego вина.

– SZYBCIEJ! – krzyknął.

Mycoples uderzała skrzydłami jeszcze mocniej i lecieli teraz tak szybko, że Thorowi zapierało dech.

Zbliżając się, Thor patrzył jak Gwen robi krok w tył, schodzi z krawędzi i staje z powrotem bezpiecznie na dachu. Jego serce przepełniła ulga. Nawet nie zobaczywszy go, z własnej woli zmieniła zdanie i zdecydowała się nie rzucać.

Mycoples wydała z siebie ryk, a wtedy Gwen podniosła wzrok i po raz pierwszy spostrzegła Thora. Ich spojrzenia się spotkały i nawet z tak dużej odległości Thor widział malujący się na jej twarzy szok.

Mycoples dotknęła dachu i w tej samej chwili Thor zeskoczył z jej grzbietu, nie czekając, aż na nim stanie, i puścił się biegiem w stronę Gwendolyn.

Gwen odwróciła się i wpatrywała w niego oczyma otwartymi w zupełnym zaskoczeniu. Wyglądała, jak gdyby patrzyła na ducha.

Thor biegł ku niej z sercem tłukącym się w piersi, podekscytowany do granic możliwości, i wyciągnął do niej rękę. Padli sobie w objęcia i trzymali się mocno, a Thor podniósł ją i przycisnął do siebie, wirując z nią dokoła.

Thor słyszał, jak Gwen łka mu do ucha, czuł, jak jej gorące łzy spływają po jego karku i ledwie był w stanie uwierzyć, że naprawdę tu jest, że trzyma ją w ramionach. To działa się naprawdę. Był to sen, który widział oczyma duszy, dzień po dniu, noc za nocą, gdy był daleko na ziemiach Imperium, gdy był pewien, że już nigdy nie powróci, że jego oczy już nigdy nie spoczną na Gwendolyn. A oto teraz trzymał ją w objęciach.

Był z dala od niej tak długo, że wszystko w niej zdało mu się nowe. I doskonałe. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie uzna żadnej chwili z nią za rzecz oczywistą.

– Gwendolyn – wyszeptał jej do ucha.

– Thorgrinie – odrzekła szeptem.

Trzymali się w objęciach sam nie wiedział jak długo, po czym powoli rozluźnili uścisk i pocałowali się. Był to namiętny pocałunek i żadne z nich się nie odsunęło.

– Żyjesz – rzekła. – Jesteś tu. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

Mycoples prychnęła i Gwendolyn podniosła wzrok znad ramienia Thora, a wtedy Mycoples uderzyła raz skrzydłami. Na twarzy Gwen odmalował się lęk.

– Nie lękaj się – rzekł Thor. – Na imię jej Mycoples. To moja przyjaciółka. Zostanie także twoją przyjaciółką. Chodź ze mną.

Thor chwycił dłoń Gwendolyn i poprowadził ją powoli wzdłuż krawędzi dachu. Gdy się zbliżali, wyczuwał jej strach. Nie dziwił się. Był to wszak prawdziwy, żywy smok, a Gwen nigdy nie znajdowała się tak blisko żadnego z tych stworzeń.

Mycoples również wpatrywała się w Gwen swymi

ogromnymi, błyszczącymi czerwonymi oczami, prychając cicho, poruszając skrzydłami i wyginając szyję w łuk. Thor miał wrażenie, że wyczuwa w niej zazdrość. I, być może, ciekawość.

– Mycoples, poznaj Gwendolyn.

Mycoples dumnie odwróciła łeb.

Po czym nagle obróciła się z powrotem i zajrzała Gwendolyn prosto w oczy, jak gdyby chciała przewiercić ją spojrzeniem na wskroś. Pochyliła się, tak blisko, że jej pysk niemal dotykał Gwendolyn.

Gwen wciągnęła gwałtownie powietrze z zaskoczeniem i zachwytem – i być może strachem. Wyciągnęła w górę drżącą dłoń i położyła ją delikatnie na długich nozdrzach Mycoples, przesuając po fioletowych łuskach.

Po kilku pełnych napięcia sekundach Mycoples w końcu zamrugła, opuściła łeb i potarła nim czule o brzuch Gwen. Mycoples pocierała nosem o jej brzuch, jak gdyby miała na jego punkcie obsesję. Thor nie pojmował dlaczego.

Następnie, równie szybko, Mycoples odwróciła łeb i spojrzała w dal.

– Jest piękna – wyszeptała Gwen.

Odwróciła się i spojrzała na Thora.

– Porzuciłam nadzieję, że kiedykolwiek powrócisz – rzekła.

– Myślałam, że to nigdy nie nastąpi.

– I ja tak myślałem – rzekł Thor. – Myśl o tobie trzymała mnie przy życiu. Dała mi powód, by przeżyć. By powrócić.

Padli sobie znów w ramiona, trzymając się mocno. Muskały

ich lekkie podmuchy wiatru. W końcu odsunęli się od siebie.

Gwendolyn spojrzała w dół i spostrzegłszy Miecz Przeznaczenia u biodra Thora otworzyła szeroko oczy. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Wróciłeś z Mieczem – rzekła, patrząc na niego niedowierzająco. – Ty jesteś tym, który miał go podnieść.

Thor skinął głową w odpowiedzi.

– Lecz jak... – zaczęła, po czym ucichła. Wyraźnie ją to przytłaczało.

– Sam nie wiem – powiedział Thor. – Po prostu byłem w stanie to zrobić.

Otworzyła szerzej oczy, pełna nadziei, gdy dotarło do niej coś jeszcze.

– Zatem Tarcza znów się podniosła – powiedziała z nadzieją w głosie.

Thor z powagą skinął głową.

– Andronicus jest uwięziony – rzekł. – Oswobodziliśmy już Królewski Dwór i Silesię.

Na twarzy Gwendolyn odmalowały się ulga i radość.

– To ty – powiedziała, pojawiając się. – To ty oswobodziłeś nasze miasta.

Thor skromnie wzruszył ramionami.

– To głównie zasługa Mycoples. I Miecza. Ja tylko im towarzyszyłem.

Gwen rozpromieniła się w uśmiechu.

– A nasi ludzie? Czy są bezpieczni? Czy ktoś przeżył?

Thor skinął głową.

– W większości żyją i mają się dobrze.

Rozpromieniła się w uśmiechu, wyglądając znów na młodszą.

– Kendrick oczekuje cię w Silesii – rzekł Thor. – Podobnie jak Godfrey, Reece, Srog i wielu, wielu innych. Wszyscy oni żyją i mają się dobrze, a miasto jest wolne.

Gwendolyn rzuciła się naprzód i padła Thorowi w objęcia, wtulając się w niego mocno. Czuł, że te wieści przyniosły jej niesamowitą ulgę.

– Myślałam, że wszystko było stracone – rzekła, łkając cicho.

– Że zniknęło na zawsze.

Thor pokręcił głową.

– Krąg przetrwał – rzekł. – Andronicus się wycofuje. Powrócimy i pozbędziemy się go na dobre. A później odbudujemy się.

Nagle Gwendolyn odwróciła się do niego plecami i spojrzała w dal, w niebo, ocierając łzę. Owinęła się ciasniej peleryną, a na jej twarzy dostrzegł lęk.

– Nie wiem, czy mogę powrócić – rzekła z wahaniem. – Coś się zdarzyło. Gdy byłeś daleko.

Thor odwrócił się i stanął przed nią, kładąc jej dłonie na ramionach.

– Wiem, co cię spotkało – rzekł. – Twoja matka mi powiedziała. To nie powód do wstydu – powiedział.

Gwendolyn patrzyła na niego. W jej oczach błysnęło zaskoczenie.

– *Wiesz?* – spytała, zszokowana.

Thor potwierdził skinieniem głowy.

– To nic nie znaczy – rzekł. – Kocham cię równie mocno, jak zawsze. Nawet bardziej. Nasza miłość – to się liczy. Tego nie da się zniszczyć. Pomszczę cię. Własnymi rękami zabiję Andronicusa. A nasza miłość nigdy nie umrze.

Gwen pospieszyła naprzód i uściśnęła Thora mocno. Jej łzy spływały mu po karku. Czuł, jak wielka była jej ulga.

– Kocham cię – rzekła mu Gwen do ucha.

– Ja ciebie także kocham – odrzekł.

Gdy Thor stał tak, trzymając ją w objęciach, jego serce napełniło się trwogą. Pragnął teraz, w tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek zadać jej to pytanie. Poprosić o rękę. Czuł jednak, że wpieryw musi wyjawic jej swój sekret, powiedziec jej, kto jest jego ojcem.

Myśl o tym przepełniła go wstydem i upokorzeniem. Oto stał, poprzysięgłszy przed chwilą, iż uśmierci mężczyznę, którego oboje nienawidzili nade wszystko. Jak mógł w swych kolejnych słowach wyznać, że Andronicus jest jego ojcem?

Thor był przekonany, że gdyby to zrobił, Gwendolyn znenawidziłaby go na zawsze. A nie mógł ryzykować, że ją straci. Nie po wszystkim, co się stało. Darzył ją zbyt wielkim uczuciem.

Miast tego sięgnął więc drżącymi dłońmi za koszulę i wyjął stamtąd naszyjnik, ten który znalazł wśród skarbów smoka, ze sznurem utkanym ze złota i błyszczącym złotym sercem,

ciężkim od diamentów i rubinów. Wyciągnął go przed siebie, pod światło słoneczne, a Gwen, ujrawszy go, wciągnęła gwałtownie powietrze.

Thor podszedł od tyłu i zapiał naszyjnik na jej szyi.

– Drobną dowód mej miłości i przywiązania – rzekł.

Prezentował się na niej pięknie, a złoto połyskiwało, odbijając na wszystkie strony promienie słońca.

Thor wyczuwał pierścień w kieszeni i poprzysiągł ofiarować go jej we właściwej chwili. Gdy zbierze się na odwagę, by wyznać jej prawdę. Lecz nie nastał jeszcze ku temu czas, choć miał nadzieję, że będzie inaczej.

– Jak zatem widzisz, możesz wrócić – rzekł Thor, muskając jej policzek wierzchnią stroną swej dłoni. – *Musisz* wrócić. Twoi ludzie cię potrzebują. Potrzebują przywódcy. Krąg bez przywódcy jest niczym. Czekają, aż ich poprowadzisz. Połowa Kręgu wciąż znajduje się w posiadaniu Andronicusa. Nasze miasta muszą jeszcze zostać odbudowane.

Spojrzał jej w oczy i widział, że rozważa to w myślach.

– Zgódź się – naciskał Thor. – Wróć ze mną. Ta Wieża to nie miejsce, w którym młoda kobieta powinna spędzić resztę swych dni. Krąg cię potrzebuje. *Ja* cię potrzebuję.

Thor wyciągnął dłoń i czekał.

Gwendolyn wbiła wzrok w swe stopy, wahając się.

W końcu wyciągnęła rękę i umieściła swoją dłoń w jego. Jej oczy stawały się coraz jaśniejsze, płonęła w nich miłość i ciepło. Widział, że powoli staje się znów dawną Gwendolyn, którą znał,

pełną życia, miłości i radości. Jak gdyby była kwiatem, który na jego oczach ponownie rozkwita.

– Zgadza się – rzekła cicho, uśmiechając się.

Przytulili się i Thor trzymał ją mocno, przysięgając, że już nigdy nie wypuści jej z objęć.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

Erec otworzył oczy i ujrzał, że leży w ramionach Alistair. Spojrzał w jej przejrzyste błękitne oczy, promieniejące miłością i ciepłem. W kącikach jej ust igrał uśmiech i Erec czuł bijące z jej dłoni ciepło, które ogarnęło jego ciało. Poruszył się i poczuł się zupełnie zdrow, jak nowo narodzony, jak gdyby nigdy nie zadano mu żadnej rany. Przywróciła go ze świata zmarłych.

Erec, zaskoczony, usiadł i spojrzał w oczy Alistair, zastanawiając się po raz kolejny, kim naprawdę jest, jakim sposobem może nosić w sobie takie moce.

Gdy Erec usiadł i potarł głowę, natychmiast przypomniał sobie: ludzie Andronicusa. Atak. Obrona jaru. Głaz.

Skoczył na równe nogi i ujrzał, że jego ludzie wpatrują się w niego, jak gdyby oczekiwali na jego wskrzeszenie – i rozkazy. Na ich twarzach dostrzegł ulgę.

– Na jak długo straciłem przytomność? – odwrócił się gorączkowo i zapytał Alistair. Dręczyło go poczucie winy, że opuścił swych ludzi na tak długo.

Lecz ona uśmiechnęła się do niego czule.

– Ledwie sekundę – rzekła.

Erec nie pojmował, jak to możliwe. Czuł się tak rześko, jak gdyby spał całe wieki. Gdy się podniósł, spostrzegł, że jego krok jest bardziej sprężysty. Odwrócił się i rzucił ku wejściu do jaru, gdzie ujrzał swe dzieło: ogromny głaz, który roztrzaskał,

blokował przejście i ludzie Andronicusa nie mogli już przedostać się na drugą stronę. Dokonał niemożliwego i odparł znacznie większą armię. Przynajmniej na chwilę.

Nim zdążył uradować się ze zwycięstwa, Erec usłyszał nagły krzyk dochodzący z góry i podniósł wzrok: tam, na szczycie urwiska, krzyczał jeden z jego ludzi, który po chwili spadł w tył, obracając się w powietrzu, i leżał martwy na ziemi.

Erec spojrział na niego i zobaczył zatopioną w ciele mężczyzny włócznię, następnie podniósł wzrok i ujrzał, że coś się dzieje w górze, usłyszał także dochodzące stamtąd krzyki. Na jego oczach tuziny ludzi Andronicusa pojawiły się na szczycie, walcząc wręcz z ludźmi księcia, cios za cios, i Erec pojął, co się stało: dowódca Imperium podzielił swe siły, posyłając część z nich w jar, a część od razu w górę urwiska.

– NA GÓRĘ! – rozkazał Erec. – WSPINAĆ SIĘ!

Ludzie księcia ruszyli za nim, gdy wbiegał po zboczu z mieczem w dłoni, wdrapując się po stromym spadku, kamieniach i pyle. Co kilka kroków ześlizgiwał się i wyciągał dłoń, ocierając ją o skały, chwytając się i starając się z całych sił nie spaść. Biegł, lecz ściana była tak stroma, że bardziej wspinał się, niż biegł; każdy krok pokonywał z trudem. Wokół niego rozlegał się zgrzyt zbroi i sapanie i dyszenie mężczyzn, którzy wdrapywali się obok niego po stoku niczym górskie kozice.

– ŁUCZNICY! – krzyknął Erec.

W dole kilka tuzinów łuczników księcia, wspinających się na górę, zatrzymało się i obrało cel na szczycie urwiska. Wypuścili

grad strzał i kilku żołnierzy Imperium z krzykiem padło w tył i poleciało w dół zbocza. Jedno z ciał spadało wprost na Ereca; uchylił się i ledwie go uniknął. Jeden z ludzi księcia nie miał jednak tyle szczęścia – spadające zwłoki uderzyły w niego i posłały krzyczącego w tył, na ziemię, gdzie zmiażdżyły na śmierć.

Łucznicy księcia zajęli pozycje w górnych i dolnych częściach zbocza, wypuszczając strzały za każdym razem, gdy żołnierz Imperium wychylał się za krawędź, by zatrzymać ich na górze.

Lecz na górze trwała zaciekle walka wręcz i nie wszystkie strzały trafiały w swój cel: jedna z nich chybiła, lądując omyłkowo w plecach jednego z ludzi księcia. Żołnierz krzyknął i wygiął się w pałak. Żołnierz Imperium wykorzystał sposobność i dźgnął mężczyznę, który spadł w dół urwiska, krzycząc. Lecz gdy żołnierz Imperium odłonił się, inny łucznik zatopił strzałę w jego brzuchu, zabijając go. Jego zwłoki spadły w dół zbocza głową naprzód.

Erec zdwoił swe wysiłki, podobnie jak mężczyźni wokół niego, pędząc co sił w górę urwiska. Gdy zbliżył się do szczytu i był ledwie stopy od niego, poślizgnął się i zaczął się osuwać; zamachał rękoma i jedną dłonią pochwycił gruby korzeń wystający ze skały. Zawisł na nim, trzymając się z całych sił, następnie podciągnął się, odzyskał równowagę i ruszył dalej.

Erec dosięgnął szczytu szybciej niż inni i rzucił się naprzód z okrzykiem bitewnym i uniesionym wysoko mieczem, pragnąc pomóc swym ludziom, którzy utrzymywali pozycje na górze, lecz

byli odpierani.

Na górze było ledwie kilka tuzinów ich ludzi i każdy z nich zajęty był walką wręcz z żołnierzami Imperium, których dwóch przypadało na jednego wojownika księcia. Z każdą upływającą sekundą na szczycie pojawiało się coraz więcej żołnierzy Imperium.

Erec walczył jak szaleniec, szarżując i dźgając dwóch żołnierzy jednocześnie, uwalniając swych ludzi. W całym Kręgu nie było nikogo szybszego w bitwie niż on, i z dwoma mieczami w rękach, siekąc na wszystkie strony, Erec korzystał ze swych wyjątkowych umiejętności czempiona Srebrnej Gwardii, by odpierać Imperium. W pojedynkę siał ogromne zniszczenie, gdy obracał się, robił uniki i siekł, posuwając się coraz głębiej w gęstwą imperialnych żołnierzy. Uchyłał się, uderzał głową i parował, i przesuwał się tak szybko, że zdecydował nie używać swej tarczy.

Erec przedzierał się przez nich jak burza, powalając tuzin żołnierzy tak szybko, iż niemal nie zdążyli się bronić. A wokół niego zebrali się ludzie księcia.

Reszta ludzi księcia dotarła na szczyt, z Brandtem i księciem na czele, i walczyła u boku Ereca. Niebawem szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na ich stronę i teraz to oni odpierali ludzi Imperium, a wokół nich zaczynały się piętrzyć trupy.

Erec rozprawił się z ostatnim żołnierzem Imperium na szczycie, odepchnął go na skraj przepaści, po czym odchylił się i kopniakiem posłał w dół po stronie Imperium. Żołnierz

poszybował w dół, krzycząc.

Erec i jego ludzie stali, próbując złapać oddech. Erec postąpił naprzód, na szeroki występ, na sam skraj urwiska po stronie, z której nadeszło Imperium. Pragnął zobaczyć, co znajduje się w dole. Imperium mądrze przestało posyłać mężczyzn w górę, lecz Erec miał złe przeczucie, że mogą mieć jeszcze jakieś rezerwy. Jego ludzie podeszli i zatrzymali się obok niego.

W najdzikszych wyobrażeniach Erec nie widział nic, co przygotowałyby go na ten widok. Jego serce na chwilę przestało bić. Mimo setek ludzi, których udało im się zabić, mimo tego, iż zamknęli jar i stali na szczycie, na dole wciąż kłębiły się dziesiątki tysięcy żołnierzy Imperium.

Erec nie mógł w to uwierzyć. Nie oszczędzili wysiłków, by dotrzeć tak daleko, a wszystkie szkody, które wyrządzili, nie nadważyły nawet sił niemającej końca armii Imperium. Będą wciąż posyłali na górę kolejnych mężczyzn. Erec i jego ludzie mogli zabić kolejne tuziny, może nawet setki. Lecz tysiące w końcu ich pokonają.

Erec czując się bezradny. Po raz pierwszy w życiu wiedział, że za chwilę zginie, tutaj, na tej ziemi, w tym dniu. Nie dało się temu zaradzić. Nie żałował tego. Bronili się heroicznie i jeśli miał umrzeć, nie było na to lepszego sposobu ani miejsca. Chwytał swój miecz, gotując się, i zawahał się jedynie na myśl, czy Alistair jest bezpieczna.

Być może, pomyślał, w przyszłym życiu dane mu będzie spędzić z nią więcej czasu.

– Cóż, nie najgorzej nam szło – dobiegł go głos.

Erec odwrócił się i zobaczył, że obok niego z dłonią na rękojeści miecza, równie pogodzony z losem, stoi Brandt. Tych dwóch stoczyło razem niezliczoną ilość bitew, wiele razy wróg przewyższał ich liczebnie – lecz Erec nigdy nie widział na obliczu przyjaciela tego wyrazu, który ujrział teraz. Musiał odzwierciedlać jego własny: zwiastował zbliżającą się śmierć.

– Przynajmniej polegniemy z mieczami w dłoni – rzekł książę.

Powiedział dokładnie to, co Erec pomyślał.

W dole żołnierze Imperium, jak gdyby zdawali sobie tego sprawę, spojrzeli w górę. Tysiące zaczęły się zbierać i maszerować równo z dobytą bronią, kierując się w ich stronę. Setki łuczników Imperium przyklęknęły i Erec wiedział, że to ostatnie sekundy, nim rozpocznie się rozlew krwi. Przygotował się i wziął głęboki oddech.

Nagle gdzieś na niebie, daleko na horyzoncie, rozległ się pisk. Erec podniósł wzrok i rozejrzał się po nieboskłonie, zastanawiając się, czy się przesłyszał. Raz słyszał krzyk smoka i zdało mu się, że tak właśnie brzmiał. Nigdy nie zapomniał tego dźwięku, który usłyszał podczas swego szkolenia, podczas Rytułu Stu. Nie spodziewał się już nigdy go usłyszeć. To nie było możliwe. Smok? Tutaj, w Kręgu?

Erec wyciągnął szyję i w oddali, w rozpędzanych przez wiatr chmurach ujrział coś, co wyryte będzie w jego umyśle po kres jego dni: ku nim leciał, uderzając wielkimi skrzydłami, ogromny

fioletowy smok o dużych, płonących czerwonych ślepiach. Ten widok przepęłnił Erec strachem większym niż jakakolwiek armia.

Jednak gdy wyteżył wzrok, przerażenie ustąpiło miejsca szokowi. Zdało mu się, że na grzbiecie smoka widzi dwoje ludzi. Zmrużywszy oczy, rozpoznał ich. Czyżby jego oczy płatały mu figle?

Na grzbiecie smoka siedział Thorgrin, a za nim, oplótnięty go w pasie, córka króla MacGila. Gwendolyn.

Nim Erec zdołał się zastanowić nad tym, co widzi, smok zanurkował, spadając ku ziemi jak orzeł. Otworzył paszczę i wydał z siebie przeraźliwy ryk, a był to dźwięk tak przenikliwy, że głąz obok Erec zaczął pękać. Ziemia zdrząła, gdy smok rzucił się w dół, otworzył paszczę i zionął strumieniem ognia, jakiego Erec nigdy wcześniej nie widział.

Dolina wypełniła się wrzaskami tysięcy żołnierzy Imperium, których pochłaniały kolejne fale ognia. Dolina rozświetliła się płomieniami. Thor kierował smoka po bliższych i dalszych szeregach Andronicusa, w mgnieniu okaz ścierając w proch dziesiątki z nich.

Pozostali żołnierze odwrócili się i puścili biegiem ku horyzontowi. Tych Thor również dogonił, każąc smokowi zionąć w nich ogniem.

Po kilku chwilach wszyscy ludzie w dole – mężczyźni, którzy, jak Erec był przekonany, doprowadzą do jego śmierci – sami byli martwi. Nie pozostało z nich nic, jedynie zwęglone trupy i

płomienie, ulatujące dusze. Cały batalion Imperium zniknął.

Erec spojrział w górę, otworzywszy buzię w szoku, i patrzył, jak smok wzbija się wysoko w powietrze, bijąc swymi wielkimi skrzydłami, i przelatuje nad nimi. Kierował się na północ. Gdy ich mijął, wśród jego ludzi rozległy się okrzyki radości.

Erec zaniemówił, pełen podziwu dla brawurowych popisów Thora, jego nieustraszoneści, tego, jak panował nad bestią – i dla siły bestii. Erec otrzymał drugą szansę – on i wszyscy jego ludzie – i po raz pierwszy od dawna był przekonany, że wszystko ułoży się dobrze. Teraz mogą odnieść zwycięstwo. Z bestią jak ta mogą pokonać nawet milionową armię Andronicusa, mogą zwyciężyć.

– Naprzód! – rozkazał Erec.

Był zdecydowany podążać śladem smoka, za wonią siarki, płomieniem na niebie, dokądkolwiek ich to doprowadzi. Thorgrin powrócił i nastał czas, by do niego dołączyć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kendrick przypuszczał szarżę na wierzchowcu otoczony swymi ludźmi, których tysiące zebrały się przed Vinesią, miastem, w którym skrył się batalion Andronicusa. Wysoka, żelazna brona broniła wejścia za bramy miasta. Jego mury były grube, a tysiące ludzi Andronicusa kłębiło się na zewnątrz i wewnątrz. Było ich znacznie więcej niż ludzi Kendricka. Nie mógł już liczyć na to, że ich zaskoczy.

Co gorsza, zza miasta nadciągały z odsieczą kolejne tysiące ludzi Andronicusa, zalewając teren. W chwili, gdy Kendrick już myślał, że mają ich w garści, sytuacja szybko się odwróciła. Teraz armia maszerowała równo, zdyscyplinowana, ku Kendrickowi, gotowa siać zniszczenie.

Innym możliwością był odwrót do Silesii, utrzymanie jej przez jakiś czas, nim Imperium odbierze ją raz jeszcze, nim uczyni ich wszystkich na powrót niewolnikami. A do tego nie mógł dopuścić.

Kendrick nigdy nie cofał się przed starciem – nawet jeśli wróg miał nad nim przewagę liczebną – podobnie jak inni zebrani wokół niego dzielni wojownicy armii MacGila, Silesii i Srebrnych. Oni wszyscy – Kendrick wiedział o tym – będą walczyć z nim na śmierć i życie. Zaciskając dłoń na rękojeści miecza wiedział, że właśnie to czeka ich tego dnia.

Ludzie Imperium wydali z siebie okrzyk bitewny, a ludzie

Kendricka odpowiedzieli na niego swoim, głośniejszym.

Gdy Kendrick i jego ludzie pędzili w dół zbocza na spotkanie zbliżającej się armii, wiedząc, że będzie to bitwa, której nie mogą wygrać, lecz na którą i tak się porwą, ludzie Andronicusa także przyspieszyli i pędzili w ich kierunku. Kendrick czuł, jak wiatr targa mu włosy, rękojeści miecza drży w jego dłoni i wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim zniknie w tym ogromnym szczęku metalu, tym ogromnym, dobrze mu znanym rytuale mieczy.

Ku swojemu zaskoczeniu Kendrick usłyszał wysoko nad sobą jakiś pisk; wyciągnął szyję, by spojrzeć w niebo i zobaczył, jak coś wyłania się z chmur, i aż spojrzał ponownie. Już raz to widział – Thora na grzbiecie Mycoples – lecz ten widok wciąż zapierał mu dech w piersi. Tym bardziej, że tym razem leciała z nim Gwendolyn.

Kendrick uradował się, patrząc jak nurkują, i zdał sobie sprawę, co się za chwilę zdarzy. Uśmiechnął się szeroko, uniósł wyżej miecz i ponaglił konia, po raz pierwszy tego dnia zdając sobie sprawę, że to jednak oni zwyciężą.

\*

Thor i Gwen lecieli na grzbiecie Mycoples, zanurzając się i wynurzając z chmur. Thor ponaglał smoczyce, której ogromne skrzydła biły coraz szybciej i szybciej. Wyczuwając, że Kendrickowi i pozostałym grozi niebezpieczeństwo, gwałtownie dał nura i przebił się przez chmury. Widział rozległe ziemie w

dole: wśród pofałdowanych wzgórz Kręgu ujrzał spory oddział Andronicusa, pędzący ku ludziom Kendricka przez puste tereny.

Thor ponaglił Mycoples.

– W dół! – wyszeptał.

Zanurkowała nisko, tak blisko ziemi, że Thor mógł niemal zeskoczyć, po czym otworzyła paszczę i ziała ogniem, którego żar niemal sparzył Thora. Kolejne fale ognia przetaczały się po ziemi, a wokół rozlegały się krzyki przerażonych żołnierzy Imperium. Mycoples siała zniszczenie, jakiego nigdy nie widzieli, podpalając mile ziem i uśmiercając tysiące ludzi Andronicusa.

Ci, którzy przeżyli, odwrócili się i poczęli uciekać. Thor postanowił pozwolić Kendrickowi i jego ludziom zająć się resztą.

Thor odwrócił się w kierunku miasta i ujrzał kolejne tysiące żołnierzy Imperium za jego murami. Wiedział, że Mycoples nie będzie mogła manewrować na zamkniętym terenie o stromych, wąskich ścianach, a wylądowanie tam będzie zbyt ryzykowne. Thor widział setki żołnierzy naciągających ciężki łuków w stronę nieba i mierzących włóczniami i obawiał się, że z tak bliskiej odległości mogą wyrządzić Mycoples krzywdę. Wcale mu się to nie podobało. Czuł, jak Miecz Przeznaczenia pulsuje w jego dłoni i wiedział, że tę walkę będzie musiał stoczyć sam.

Thor pokierował Mycoples na ziemię przed miastem, przed ogromną żelazną bronią.

Gdy stanęła na ziemi, pochylił się i wyszeptał do jej ucha:

– Brama. Spal ją, a ja zajmę się resztą.

Mycoples usiadła i zaskrzeczała w odpowiedzi, buntowniczo uderzając skrzydłami. Wyraźnie chciała zostać z Thorem, walczyć u jego boku za murami miasta. Lecz Thor nie pozwolił jej na to.

– To moja walka – nalegał. – A ty musisz zanieść Gwen w bezpieczne miejsce.

Mycoples zdawała się ustępować. Nagle odchyliła się i zionęła ogniem w żelazną bramę tak długo, aż stopiła się i nie pozostał po niej nawet ślad.

Thor pochylił się do Mycoples.

– Leć! – wyszeptał do niej. – Doprowadź Gwendolyn w bezpieczne miejsce.

Thor zeskoczył z jej grzbietu, czując, jak Miecz Przeznaczenia pulsuje w jego dłoni.

– Thor! – zawołała za nim Gwendolyn.

Lecz Thor pędził już ku stopionym bramom. Usłyszał, jak Mycoples odlatuje i wiedział, że zabiera Gwendolyn w bezpieczne miejsce.

Thor wpadł na dziedziniec, w samo serce miasta, w mrowie tysięcy mężczyzn. Miecz Przeznaczenia drgał w jego dłoni jak żywe stworzenie i sprawiał wrażenie lżejszego niż powietrze. Musiał tylko go trzymać.

Thor poczuł, że jego ręka, nadgarstek i ciało poruszają się i zaczyna sieć i atakować we wszystkich kierunkach. Miecz ze świstem wżynał się w ludzi jak w masło, zabijając tuziny za jednym pociągnięciem. Thor zamachnął się i ciął na wszystkie

strony. Z początku Imperium także starało się go atakować; lecz po tym, jak Thor przecinał przez tarcze, przez zbroje, przez inną broń, jak gdyby w ogóle ich tam nie było, gdy zabijał rząd za rządem ludzi, pojęli, z czym przyszło im się zmierzyć: z magicznym wirem zniszczenia, którego nie dało się zatrzymać.

W mieście zrodził się popłoch. Tysiące żołnierzy Imperium odwróciły się i próbowały uciec przed mury, znaleźć się z dala od Thora. Lecz nie było dokąd uciec. Thor, prowadzony mieczem, był zbyt szybki, jak błyskawica rozchodząca się po mieście. Ogarnięci paniką żołnierze wbiegali w mury miasta, w siebie wzajemnie, rzucając się w popłochu ku wyjściu.

Thor nie pozwolił im uciec. Pędem przemierzył każdy zakamarek miasta, a miecz niósł go z prędkością, jakiej wcześniej nie znał. Myśląc o Gwendolyn, i o tym, co uczynił jej Andronicus, zabijał żołnierza za żołnierzem, dokonując zemsty. Nastął czas, by naprawić zło, którym Andronicus nękał Krąg.

Andronicus. Jego ojciec. Myśl ta rozpałała ogień w jego sercu. Z każdym uderzeniem miecza Thor wyobrażał sobie, że zabija go, niszcząc swe pochodzenie. Pragnął być kimś innym, *pochodzić* od kogoś innego. Pragnął ojca, z którego mógłby być dumny. Każdego, byle nie Andronicusa. A jeśli zabije wystarczająco wielu tych mężczyzn, być może, łudził się, uwolni się od niego.

Thor walczył półprzytomnie, obracając się w każdą stronę, aż w końcu zdał sobie sprawę, że ciął powietrze. Rozejrzał się i ujrzał, że każdy żołnierz, każdy spośród tysięcy ludzi

Andronicusa leży martwy na ziemi. Miasto przepelnione było trupami. Nie było już kogo zabijać.

Thor stał sam na placu miasta, dysząc ciężko. Od Miecza w jego dłoni biła poświata. Nikt się nie poruszał.

Thor usłyszał odległe wiwaty; otrząsnął się, wybiegł za bramy miasta i w oddali ujrzał ludzi Kendricka, szarżujących za pozostałymi żołnierzami, odpierając ich dalej.

Gdy Thor puścił się biegiem przez bramy miasta, Mycoples ujrzała go i obniżyła lot, czekając na niego z Gwendolyn na grzbiecie. Thor wsiadł na smoczącę i raz jeszcze wzbili się w powietrze.

Lecieli nad armią Kendricka i spojrzawszy w dół Thor spostrzegł, że wyglądają jak mrówki. Wznosili zwycięskie okrzyki, gdy ich mijał. W końcu znaleźli się przed armią Kendricka, przed ogromnym kłębowiskiem ludzi, koni i pyłu. Przed nimi znajdowały się rozproszone resztki legionów Andronicusa.

– W dół – wyszeptał Thor.

Zanurkowali i zbliżyli się do jadących na tyle ludzi Andronicusa, a wtedy Mycoples zionęła ogniem, zabijając rząd za rządem, tworząc ogromną, powiększającą się ścianę ognia. Rozległy się krzyki i Thor szybko unicestwił całą tylną straż.

W końcu nie było już kogo zabijać.

Lecieli dalej, przekraczając rozległe równiny. Thor chciał się upewnić, że żaden z wrogów nie pozostał przy życiu. W oddali dostrzegł ogromny łańcuch gór, Pogórze, oddzielający wschód

od zachodu. Na tym terenie, aż do Pogórza, nie było ani jednego żołnierza Imperium. Thor ucieszył się.

Całe Zachodnie Królestwo Kręgu zostało oswobodzone. Starczy zabijania na jeden dzień. Słońce poczęło chylić się ku zachodowi i cokolwiek leżało przed nimi, po wschodniej stronie Pogórza, mogło tam na razie pozostać.

Thor zatoczył koło i ruszył z powrotem w kierunku Kendricka. Ziemia płynęła pod nim szybko i niebawem usłyszał krzyki i wiwaty patrzących w niebo mężczyzn, wykrzykujących jego imię.

Wylądował przed armią, zsiadł i pomógł Gwendolyn zejść.

Ogromna grupa zebrała się wokół nich i wszyscy spieszyli naprzód, by ich objąć. Rozlegały się donośne okrzyki zwycięstwa, a żołnierze napierali zewsząd. Kendrick, Godfrey, Reece i jego inni bracia legionieści, Srebrni – wszyscy, których Thor znał i o których dbał spieszyli, by objąć jego i Gwendolyn.

W końcu wszyscy byli znów razem. W końcu byli wolni.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Andronicus przemierzał obóz gwałtownym krokiem i, miotany wściekłością impulsywnie wyciągnął swe długie szpony i oderwał głowę młodego żołnierza, który miał nieszczęście stać w pobliżu. Maszerując, Andronicus pozbawiał głów jednego żołnierza po drugim, aż w końcu jego ludzie pojęli i zaczęli się cofać, by przypadkiem nie znaleźć się blisko niego. Wiedzieli, że nie powinni zbliżać się do niego, gdy był w takim nastroju.

Rozstępowali się na boki, gdy Andronicus przemierzał gwałtownie obóz liczący dziesiątki tysięcy żołnierzy, wszyscy trzymali się na bezpieczną odległość. Nawet jego generałowie trzymali się z daleka, podążając za nim, wiedząc, że lepiej się nie zbliżać, kiedy jest tak rozdrażniony jak teraz.

Porażka to jedno. Lecz porażka taka jak ta – nic takiego nie zdarzyło się wcześniej w całej historii Imperium. Andronicus nigdy wcześniej nie doświadczył porażki. Jego życie było jednym długim pasmem zwycięstw, a każde kolejne było bardziej brutalne i satysfakcjonujące niż poprzednie. Nie znał smaku porażki. Teraz go poznał. I nie był nim zachwycony.

Andronicus raz po raz przetrząsał w myślach to, co się wydarzyło, zastanawiał się, jakim sposobem sprawy przybrały tak niepomyślny obrót. Ledwie wczoraj zdawało mu się, że jego zwycięstwo jest całkowite, że Krąg należy do niego. Zniszczył Królewski Dwór i podbił Silesię; ujarzmił wszystkich

MacGilów i poniżył ich przywódczynię, Gwendolyn; zadawał mękę ich najświetniejszym żołnierzom na krzyżach, zamordował już Kolka i miał zamiar dobić Kendricka i pozostałych. Argon wmieszał się w jego sprawy, wyrwał mu z rąk Gwendolyn nim zdążył ją zabić i Andronicus zamierzał to naprawić, sprowadzić ją z powrotem i zabić wraz z innymi. Jeszcze dzień, a osiągnąłby całkowite zwycięstwo i świetność.

I wtedy wszystko zmieniło się – i to tak szybko – na gorsze. Thor i smok pojawili się na widnokręgu jak upiory, spadli na nich nagle i płomieniami i Mieczem Przeznaczenia zdołali zmieść całe oddziały jego ludzi. Andronicus obserwował to wszystko z bezpiecznej odległości; miał dobry zmysł bitewny i zarządził odwrót tutaj, na tę część Pogórza, podczas gdy jego zwiadowcy przez cały dzień przynosili mu raporty, informując, jakie zniszczenia wyrządza Thor i smok. Na południu, nieopodal Savarii, zmiotli cały batalion; w Królewskim Dworze i Silesii sprawy przedstawiały się równie źle. Teraz całe Zachodnie Królestwo Kręgu, wcześniej pod jego panowaniem, zostało oswobodzone. Było to nie do pomyślenia.

Wrzało w nim na myśl o Mieczu Przeznaczenia. Uciekł się do takich środków, by pozbyć się go z Kręgu, a oto znów go tu sprowadzono i Tarcza na powrót się podniosła. To oznaczało, że był uwięziony w Kręgu z tymi ludźmi, których tu miał; mógł się stąd wydostać, a jakże, lecz nie mógł sprowadzić więcej oddziałów. Szacował, że wciąż miał jakieś pół miliona żołnierzy tutaj, po tej stronie Pogórza – więcej niż potrzebował,

by zyskać przewagę liczebną nad MacGilami. Jednakże w starciu z Thorem, Mieczem Przeznaczenia i tym smokiem liczby nie miały już znaczenia. Teraz, jak na ironię, szczęście uśmiechnęło się do przeciwnika. Nigdy wcześniej nie znalazł się w takiej sytuacji.

Jak gdyby sprawy nie mogły przybrać bardziej niepomyślnego obrotu, jego szpiedzy donieśli mu, że sytuacja na jego ziemiach, w stolicy Imperium, nie jest stabilna, że Romulus spiskuje, by odebrać mu tron.

Andronicus wydawał wściekłe pomruki, gdy gwałtownym krokiem przemierzał obóz, rozważając swe możliwości, szukając kogoś – kogokolwiek – kogo mógłby za to wszystko obwinić. Jako dowódca wiedział, że najmądrzejszą decyzją taktyczną byłby odwrót i opuszczenie Kręgu już teraz, nim Thor i smok ich odnajdą. Zdołałby ocalić te siły, które mu pozostały, wejść na okręty, wrócić do Imperium okryty hańbą i dopilnować, by nikt nie odebrał mu tronu. Krąg był wszak jedynie pyłkiem pośród ogromnych połaci Imperium, a każdemu wielkiemu dowódcy raz może powinąć się noga. Panowałby wciąż nad dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami świata i wiedział, że to powinno go zadowalać.

Lecz nie tak postępował Wielki Andronicus. Andronicus nie należał ani do roztropnych, ani do zadowolonych. Zawsze podążał za swymi namiętnościami i choć wiedział, że podejmuje ogromne ryzyko, nie był gotów na to, by opuścić to miejsce, by przyznać się do klęski, by pozwolić Kręgowi wyslizgnąć mu się z

rąk. Nawet gdyby musiał poświęcić całe swe Imperium, znajdzie sposób, by zmiotł i zdominował to miejsce. Bez względu na środki.

Andronicus nie potrafił kontrolować smoka ani Miecza Przeznaczenia. Lecz Thorgrin... to zupełnie co innego. Jego syn.

Andronicus zatrzymał się i westchnął, rozważając to w myślach. Cóż za ironia: jego własny syn jako ostatni stoi mu na drodze ku dominacji nad światem. W jakiś sposób zdało mu się to właściwe. Nieuniknione. Wiedział, że to najbliżsi ludzie zawsze krzywdzą najbardziej.

Przywołał w myślach przepowiednię. Oczywiście pozwolenie na to, by jego syn żył, było błędem. Ogromnym błędem, jaki popełnił. Jednak miał do niego słabość, mimo tego, iż wiedział, że według przepowiedni może on doprowadzić do jego upadku. Pozwolił Thorowi żyć i teraz musiał za to zapłacić.

Andronicus szedł dalej przez obóz, a jego oficerowie podążali za nim. Dotarł w końcu na jego obrzeża i stanął przed namiotem mniejszym niż pozostałe, jedynym szkarłatnym namiotem w morzu czerni i złota. Tylko jeden człowiek miał czelność posiadać namiot innej barwy, jedyny człowiek, którego bali się jego ludzie.

Rafi.

Czarnoksiężnik Andronicusa, najnikczemniejsza istota, jaką kiedykolwiek spotkał. Rafi doradzał mu na każdym kroku, chronił go swą złą energią, bardziej niż ktokolwiek inny odpowiadał za pozycję, jaką osiągnął Andronicus.

Andronicusowi nie podobało się to, że musiał zwracać się do niego teraz, przyznawać się, jak bardzo był mu potrzebny. Jednak gdy napotykał przeszkodę nie z tego świata, rzecz magiczną, zwracał się zawsze do Rafiego.

Gdy zbliżył się do namiotu, napotkał spojrzenie dwóch niegodziwych istot, osłoniętych szkarłatnymi pelerynami, których żółte ślepia świeciły w głębi kapturów. Były to jedyne stworzenia w całym obozie, które ośmiały się nie kłaniać się w jego obecności.

– Przyzywam Rafiego – oznajmił Andronicus.

Istoty, nie obracając się, wyciągnęły ręce i odchyliły poły namiotu.

Z jego wnętrza wydobył się odór tak przeraźliwy, że Andronicus aż się wzdrygnął.

Nastąpiła długa chwila oczekiwania. Wszyscy generałowie za Andronicusem zatrzymali się i przypatrywali w nerwowym oczekiwaniu, podobnie jak cały obóz – wszyscy odwrócili się, by popatrzeć. W obozie zaległa gęsta cisza.

W końcu z wnętrza szkarłatnego namiotu wyłoniła się wysoka i chuda postać, dwukrotnie wyższa od Andronicusa, chuda jak gałąź drzewa oliwnego, ubrana w ciemnoszkarłatne szaty, której twarz ginęła gdzieś w ciemności pod kapturem.

Rafi stanął przed nim i Andronicus widział jedynie nieruchome spojrzenie utkwione w jego twarzy, jego żółte oczy, osadzone w zbyt bladym ciele.

Pełna napięcia cisza trwała.

W końcu Andronicus postąpił naprzód.

– Chcę, by Thorgrin zginął – rzekł Andronicus.

Po długiej ciszy Rafi zachichotał. Był to głęboki, niepokojący dźwięk.

– Ojcowie i synowie – rzekł. – Zawsze to samo.

Andronicus trawiła niecierpliwość.

– Potrafisz mi pomóc? – zapytał z naciskiem.

Rafi stał długo w milczeniu, wystarczająco długo, by Andronicus zaczął rozważać, czyby go nie ukatrupić. Wiedział jednak, że byłoby to nierozważne posunięcie. Raz, w napadzie gniewu, Andronicus popędliwie usiłował go dźgnąć i jego miecz stopił się w powietrzu, w jego dłoni. Rękojeść sparzyła mu dłoń; ręka wracała do zdrowia przez długie miesiące.

Andronicus stał więc, zacisnąwszy zęby, i znosił ciszę.

W końcu spod kaptura Rafiego dobiegło mruczenie.

– Energie, które otaczają chłopca, są bardzo silne – rzekł Rafi powoli. – Lecz każdy ma jakąś słabość. On wzbili się magią. I magią można go pokonać.

Andronicus, zaintrygowany, dał krok naprzód.

– O jakiej magii mówisz?

Rafi zawahał się.

– Takiej, z jaką nigdy jeszcze nie miałeś do czynienia – odparł. – Tej przeznaczonej jedynie dla istot takich jak Thor. Jest twym potomkiem, lecz także czymś więcej. Jest potężniejszy nawet niż ty. Jeśli dożyje tego dnia.

Andronicus zagotował się ze złości.

– Powiedz mi, jak go pojmać – rzekł gorączkowo.

Rafi potrząsnął głową.

– To zawsze było twoją słabością – powiedziało. – Chcesz go pojmać, lecz nie zabić.

– Wpierw go pojmem – poprawił go Andronicus. – A następnie zabiję. Istnieje sposób, by tego dokonać, czy nie?

Znów nastąpiła długa cisza.

– Owszem, istnieje sposób, by pozbawić go jego mocy – rzekł Rafi. – Jeśli odbierze mu się jego cenny Miecz i smoka, będzie tylko zwykłym chłopcem.

– Pokaż mi, jak tego dokonać – polecił Andronicus.

Nastąpiła długa cisza.

– Będziesz musiał za to zapłacić – odrzekł w końcu Rafi.

– Cokolwiek – rzekł Andronicus. – Oddam ci cokolwiek.

Rozległ się przeciągły, mroczny śmiech.

– Myślę, że nadejdzie dzień, w którym będziesz tego żałował – odrzekł Rafi. – Bardzo, bardzo żałował.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Romulus maszerował drogą misternie ułożoną ze złotych bloków, prowadzącą do Volusii, stolicy Imperium. Żołnierze odziani w swe najświetniejsze zbroje stawali na baczność, gdy ich mijał. Romulus kroczył na czele swej armii, z której pozostało ledwie kilka setek żołnierzy, zniechęconych i posępnych po potyczce ze smokami.

Romulus płonął z gniewu. Wracał okryty hańbą. Przez całe swe życie powracał zwycięsko, jak bohater; teraz wracał w ciszy, okryty wstydem, prowadząc za sobą, miast trofeów i jeńców, żołnierzy, którzy ponieśli klęskę.

Spalało go to od wewnątrz. Niemądre było z jego strony zapuszczanie się tak daleko w pogoni za Mieczem i porwanie się na walkę ze smokami. Pozwolił, by rządziło nim jego wysokie mniemanie o sobie; powinien był wiedzieć, by tak nie postępować. Poszczyściło mu się, że w ogóle udało mu się uciec, nie wspominając nawet o tym, że część jego ludzi przeżyła. Wciąż słyszał ich krzyki, czuł swąd ich zwęglonych ciał.

Jego ludzie usłuchali go i walczyli dzielnie, idąc na śmierć z jego rozkazu. Lecz gdy na jego oczach tysiące skurczyły się do kilku setek, wiedział, że czas się wycofać. Zarządził nagły odwrót i jego pozostałe siły wślizgnęły się do tuneli, gdzie schroniły się przed smoczym oddechem. Trzymali się podziemi i przebyli całą drogę do stolicy pieszo.

A teraz byli tutaj, maszerowali przez wznoszące się na setki stóp ku niebu bramy miasta. Weszli do legendarnego miasta, wzniesionego w całości ze złota, w którym roily się tysiące żołnierzy Imperium, maszerujące w formacjach i ustawione wzdłuż ulic, stające na baczność, gdy ich mijał. Wszak, skoro nie było tu Andronicusa, to Romulus *de facto* władał Imperium i był najbardziej poważanym spośród wszystkich wojowników. Przynajmniej wcześniej, przed swą niedawną przegraną. Teraz, po ich porażce, nie wiedział, jak ludzie będą na niego patrzeć.

Porażka nie mogła się zdarzyć w mniej dogodnej chwili. Romulus gotował swój zamach, gotował się do objęcia władzy i odsunięcia od niej Andronicusa. Gdy kluczył uliczkami tego misternie zbudowanego miasta, mijając fontanny, starannie ułożone ścieżki w ogrodach, sługi i niewolników, rozmyślał o tym, że miast powrócić z Mieczem Przeznaczenia w dłoni, jak to sobie wyobrażał, z mocą większą niż kiedykolwiek posiadał, powracał osłabiony. Teraz, miast objąć władzę, która słusznie mu się należy, zmuszony będzie przeprosić przed Radą i mieć nadzieję, że nie utraci swej pozycji.

Wielka Rada. Na samą myśl skręcało go w środku. Romulus nie należał do tych, którzy odpowiadaliby przed kimkolwiek, nie wspominając już o radzie utworzonej z mieszkańców Imperium, którzy nigdy nie dzierżyli w dłoni miecza. Każda z dwunastu prowincji Imperium posyłała dwóch przedstawicieli, co dawało łącznie dwa tuziny przywódców z każdego zakątka Imperium. W teorii to oni rządzą Imperium; w rzeczywistości jednak

Andronicus władał, jak mu się podobało, a Rada robiła, co im mówił.

Jednak gdy Andronicus wyruszył do Kręgu, powierzył w ręce Rady więcej władzy niż kiedykolwiek wcześniej; Romulus przypuszczał, iż Andronicus uczynił to dla ochrony własnej i ktoś pilnował Romulusa, by upewnić się, że jego tron będzie na niego czekał, gdy powróci. To posunięcie rozzuchwiliło Radę; zachowywali się teraz, jak gdyby naprawdę sprawowali władzę nad Romulusem. I na tę chwilę Romulus musiał ścierpieć upokorzenie odpowiadania przed tymi ludźmi. Wszystkich osobiście wybrał Andronicus, byli to jego poplecznicy, ludzie, których tam umieścił, by upewnić się, że nic nie zagrazi jego tronowi. Rada miała się wszelkimi sposobami, by wzmacniać pozycję Andronicusa i osłabiać każdego, kto mu zagrażał – zwłaszcza Romulusa. A porażka Romulusa stanowiła po temu świetny pretekst.

Romulus dotarł do błyszczącego kapitolu – ogromnego, czarnego, okrągłego budynku, który wznosił się wysoko ku niebu, otoczonego złotymi kolumnami, o błyszczącej złotej kopule. Powiewał na niej sztandar Imperium, a nad drzwiami znajdowało się godło – złoty lew z orłem w paszczy.

Gdy Romulus pokonywał setkę złotych schodów, jego ludzie zatrzymali się na placu. Ruszył samotnie ku wrotom kapitolu, pokonując po trzy stopnie naraz. Jego broń obijała się ze zgrzytem o zbroję.

By otworzyć masywne wrota u szczytu schodów, trzeba

było tuzina sług. Ich skrzydła wznosiły się na pięćdziesiąt stóp i wykonane były z błyszczącego złota usianego czarnymi punktami, na których odcisnięta była pieczęć Imperium. Rozwarli je na oścież i Romulus poczuł gwałtowny, zimny podmuch wiatru, który uniósł włoski na jego ciele, gdy wchodził do słabo oświetlonego wnętrza. Ogromne wrota zamknęły się za nim i poczuł, jak zawsze gdy wchodził do tego budynku, jak gdyby składano go do grobu.

Romulus szedł po marmurowej podłodze, zaciskając szczęki. Odgłos jego ciężkich butów odbijał się echem. Chciał już mieć z głowy to spotkanie i zająć się ważniejszymi sprawami. Doszły go pogłoski o fantastycznej broni, tuż przed tym, jak się tu zjawiał, i chciał się dowiedzieć, czy to prawda. Jeśli tak, to zmieni wszystko, odwróci bieg wydarzeń na jego korzyść. Jeśli naprawdę istnieje, to wszystko – Andronicus, Rada – nie miałyby już dla niego żadnego znaczenia. Całe Imperium byłoby wreszcie naprawdę jego. Myśl o tej broni była jedyną rzeczą, która sprawiała, że Romulus pokonywał pewnie kolejne stopnie i jeszcze jedne wielkie drzwi, po czym wszedł do okrągłego pomieszczenia, w którym obradowała Wielka Rada.

We wnętrzu tej ogromnej sali znajdował się okrągły, czarny stół z otworem pośrodku i wąskim przejściem dla jednej osoby. Wokół niego siedzieli przedstawiciele Rady o srogich obliczach, dwadzieścia cztery czarne szaty. Wszyscy mieli siwiejące rogi i szkarłatne oczy, ociekające czerwienią pod wpływem lat. Romulus czuł się upokorzony, musząc stanąć przed nimi, musząc

przecisnąć się przez wąskie przejście i stanąć pośrodku stołu, być otoczonym ludźmi, do których musiał się zwrócić. Upokarzające było to, że musiał odwracać się we wszystkie strony, by do nich mówić. Sala i ten stół celowo zostały zaprojektowane w ten sposób, była to kolejna zagrywka Andronicusa, by zastraszać innych.

Romulus stał pośrodku pomieszczenia w ciszy przez sam nie wiedział jak długo, gotując się ze złości. Nęciło go, by wyjść, lecz powstrzymał się.

– Romulus z Legionu Octakin – zaanonsował oficjalnie jeden z członków Rady.

Romulus obrócił się i ujrzał kościstego, starszego członka rady o zapadniętych policzkach i przyprószonych siwizną włosach, wpatrującego się w niego szkarłatnymi oczyma. Ten mężczyzna był poplecznikiem Andronicusa i Romulus wiedział, że zrobi wszystko, by zaspokoić pragnienia Andronicusa.

Starzec odchrząknął.

– Powróciłeś do Volusii okryty hańbą, poniósłszy porażkę. Nie brak ci śmiałości, skoro się tu pokazujesz.

– Stałeś się nieostrożnym i prędkim dowódcą – rzekł inny.

Romulus obrócił się i ujrzał wpatrujące się w niego pełne wzgardy oczy po drugiej stronie kręgu.

– Straciłeś tysiące naszych ludzi w bezowocnych poszukiwaniach Miecza, w twojej nierozważnej potyczce ze smokami. Zawiodłeś Andronicusa i Imperium. Co rzekniesz na swą obronę?

Romulus wpatrywał się w niego wyzywająco.

– Nie żałuję swych czynów – rzekł. – Odzyskanie Miecza było ważne dla Imperium.

Inny starzec nachylił się.

– Lecz *nie* odzyskałeś go, czy tak?

Krew napłynęła Romulusowi do twarzy. Ukatrupiłby tego człowieka, gdyby tylko mógł.

– Niemal odzyskałem – odrzekł w końcu.

– *Niemal* nic nie znaczy.

– Napotkaliśmy niespodziewane przeszkody.

– Smoki? – zauważył jeden z członków rady.

Romulus zwrócił się ku niemu.

– Jak można być tak nierozważnym? – rzekł członek rady. – Naprawdę sądziłeś, że uda ci się je zwyciężyć?

Romulus odchrząknął. Wzbierał w nim gniew.

– Nie. Mym celem nie było zabicie smoków. Było nim odzyskanie Miecza.

– Jak już wspomniałem, w tej kwestii także ci się nie powiodło.

– Co gorsza – rzekł inny. – Nastawiłeś smoki przeciwko nam. Z całego Imperium napływają raporty o ich atakach. Rozpętałeś wojnę, której nie jesteśmy w stanie wygrać. To ogromna strata dla Imperium.

Romulus nie próbował już odpowiadać; wiedział, że doprowadzi to jedynie do kolejnych oskarżeń i pretensji. Wszak byli to ludzie Andronicusa i kierowały nimi inne pobudki.

– Ogromna szkoda, iż nie ma tu wielkiego Andronicusa, by we własnej osobie cię wychłostał – rzekł inny członek rady. – Jestem przekonany, iż nie pozwoliłby ci przeżyć tego dnia.

Odchrząknął i oparł się o krzesło.

– Lecz skoro go tu nie ma, musimy czekać na jego powrót. Teraz rozkażesz armii wysłać legiony okrętów, by wspomóc Wielkiego Andronicusa w Kręgu. A jeśli chodzi o ciebie, zostaniesz zdegradowany, pozbawiony oręża i stopnia. Nie opuszczaj baraków i oczekuj naszych dalszych rozkazów.

Romulus wgapił się w niego, nie dowierzając.

– Powinno cię ucieszyć, iż nie zabijamy cię na miejscu. A teraz odejź – rzekł inny członek rady.

Romulus zacisnął pięści. Spurpurowiał i zmierzył spojrzeniem każdego z członków rady. Poprzysiągł w duchu, że zabije każdego z nich. Lecz rzekł sobie, że musi się z tym wstrzymać, że jeszcze nie czas. Mógłby zyskać trochę zadowolenia z zabicia ich teraz, lecz nie pomogłoby mu to osiągnąć jego ostatecznego celu.

Romulus obrócił się i wypadł z sali. Jego kroki odbijały się echem, gdy wychodził przez otwarte drzwi, które zaraz za nim zamknięto.

Romulus wymaszerował z budynku kapitolu i ruszył w dół setki złotych schodów, ku oczekującym go żołnierzom. Odwrócił się do swego zastępcy.

– Panie – rzekł generał, pochylając się nisko. – Jakie są twoje rozkazy?

Romulus wpatrywał się w niego, myśląc. Nie mógł, rzecz zrozumiała, wykonać rozkazów Rady; wręcz przeciwnie, nastał czas, by się im sprzeciwić.

– Rada rozkazała, by wszystkie okręty Imperium powróciły natychmiast do naszych brzegów.

Generał rozwarł szeroko oczy.

– Panie, lecz wtedy Wielki Andronicus pozostanie w Kręgu bez możliwości powrotu do Imperium.

Romulus odwrócił się i spojrzał na niego przeciągle, chłodno.

– Nigdy nie kwestionuj mych rozkazów – odrzekł głosem zimnym jak lód.

Generał skłonił się.

– Oczywiście, panie. Proszę o wybaczenie.

Dowódca odwrócił się i odszedł szybkim krokiem, i Romulus wiedział, że wykona jego rozkazy. Był oddanym żołnierzem.

Romulus uśmiechnął się do siebie. Jakimi głupcami byli członkowie Rady, myśląc, że ich usłucha, że wykona ich rozkazy. Zdecydowanie go nie doceniali. Wszak nie dysponowali nikim, kto by go zdegradował, i nim to do nich dotrze, Romulus, mając jeszcze władzę, wyda wystarczająco dużo rozkazów, by powstrzymać ich przed uzyskaniem nad nim kontroli. Andronicus jest wielki, lecz Romulus jest większy.

Na obrzeżach placu stał mężczyzna odziany w szatę w kolorze jarzącej się zieleni z opuszczonym kapturem, odsłaniającym szeroką, płaską żółtą twarz o czterech oczach. Mężczyzna miał długie, chude ręce, palce długie jak ramię Romulusa, i czekał

cierpliwie. Był Wokabłem. Romulus nie lubił zadawać się z tą rasą, lecz w pewnych okolicznościach był do tego zmuszony – i to właśnie była jedna z nich.

Romulus podszedł do Wokabla, wyczuwając z odległości kilku kroków, jak dziwaczny, a zarazem straszny był. Stwór wpatrywał się w niego swymi czterema oczami. Wyciągnął jeden ze swych długich palców i dotknął jego piersi. Romulus zatrzymał się natychmiast, gdy dotknął go oślizgły palec.

– Znaleźliśmy to, po co nas posłałeś – rzekł stwór, po czym z jego gardła dobył się dziwny, gulgoczący dźwięk. – Lecz będzie cię to sporo kosztowało.

– Zapłacę, ile zechcecie – rzekł Romulus.

Stwór zawahał się, jak gdyby podejmując decyzję.

– Musisz przyjść sam.

Romulus zawahał się.

– Skąd mam wiedzieć, czy mówisz prawdę? – spytał Romulus.

Stwór pochylił się i na jego twarzy pojawiło się coś, co mogłoby imitować uśmiech. Romulus żałował, że tak się stało. Jego oczom ukazały się setki małych, ostrych zębów w prostokątnej szczęce.

– Nie możesz tego wiedzieć – odrzekł.

Romulus spojrział we wszystkie jego oczy. Wiedział, że nie może ufać temu stworowi. Musiał jednak spróbować. Rzecz, którą go kusił, była zbyt wspaniała, by ją zlekceważyć. Romulus szukał jej całe swe życie: była to mityczna broń, która – jak głosi legenda – może opuścić Tarczę i pozwolić przekroczyć Kanion.

Stwór obrócił się do niego plecami i zaczął odchodzić, a Romulus stał w miejscu, przyglądając mu się. Po chwili ruszył za nim.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gwendolyn leciała na grzbiecie Mycoples, trzymając się kurczowo Thora, a wiatr targał jej włosy. Był zimny, lecz dawał przyjemne, odświeżające uczucie. Zaczynała na powrót czuć, że żyje.

Tak naprawdę Gwendolyn nigdy nie czuła się tak szczęśliwa, jak w tej chwili. Wszystko znów było na swym miejscu. Czuła swoje dziecko, kopiące w jej brzuchu, i wyczuwała, że raduje się ono z bliskości Thora. Gwen niecierpliwiła się, by podzielić się z Thorem nowinami, lecz czekała na idealny moment. A odkąd opuścili Wieżę Schronienia, nie mieli chwili, by pomówić.

Rzucili się w wir walki i przygody, siedząc we dwoje na grzbiecie Mycoples, a Gwen patrzyła zdumiona, jak bestia zabija dziesiątki ludzi Andronicusa. Nie miała dla nich ani krztyny litości. Wręcz przeciwnie – odczuwała zadowolenie, czuła, że jej pragnienie zemsty powoli się wypełnia. Każdy zabity żołnierz Imperium, każde oswobodzone miasto i osada były powetowaniem ich krzywd. Po tych wszystkich klęskach, po obserwowaniu, jak wróg sieje zniszczenie na jej ojczystych ziemiach, zwycięstwo było przyjemnym uczuciem.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.